ROCZNIK IX.

TOM II.

NR. 107.

LISTOPAD.

1913.

ŚWIAT SŁOWIAŃSKI

MIESIĘCZNIK

POD REDAKCYĄ

D^RA^ FELIKSA KONECZNEGO

KRAKÓW

ADMINISTRACYA: UL. CZYSTA 1

„Świat Słowiański"

miesięcznik poświęcony słowianoznawstwu i przeglądowi spraw słowiańskich ze stanowiska polskiego, wychodzi z początkiem każdego miesiąca w zeszytach 4—5 arkuszowych. — Prenumerata całoroczna wraz z przesyłką pocztową wynosi 10 K (10 marek), kwartalnie 2 K 50 h. (2 M. 50 f.) Cena jednego zeszytu 1 K (1 M).

Adres Redakcyi: Kraków XIII., Salwator

Administracya: ul. Czysta L. 1.

Skład główny na Lwów i Galicyę wschodnią w księgarni H. Altenberga we Lwowie.

W Warszawie skład główny w księgarni Wendego i S-ki.

Prenumerata roczna 5 rb. 50 kop.

TREŚĆ Nru 107-go:

(listopad 1913 r.)

[Nr 107]

W pięćsetlecie Horodła.

Dnia dzisiejszego mija pięćset lat od chwili, gdy w małej nadbużańskiej mieścinie wyszedł z pod pióra królewskiego sekretarza, księdza *Ciołka*, akt, a raczej kilka aktów, zażywających w ojczyźnie naszej od wieków zasłużonej czci i poszanowania. Znaną była zawsze wszystkim synom Korony i Wielkiego Księstwa litewskiego ich treść, pojmowana powszechnie, jako połączenie Polski z Litwą, czyli unia, o charakterze polityczno-państwowym i społeczno-narodowym.

Tej pierwszej, politycznej, części aktów horodelskich chcemy dziś, w rocznicę, słów kilka poświęcić.

Nauka historyczna, tak polska, jak i obca, głównie ruska i rosyjska, pojmuje t. zw. unię horodelską jako akt, który, w stosunku do aktu krewskiego, zapewniającego włączenie i wcielenie całego państwa litewskiego w skład Korony polskiej, był krokiem wstecz, stanowił rozluźnienie tego, według tamtych początkowych aktów i przysiąg na wierność królowi i Koronie polskiej złożonych przez wszystkich litewskich książąt, jednolitego organizmu państwowego. Odtąd, od aktu horodelskiego, miały, według dotychczasowego pojmowania, egzystować dwa państwa, z zagwarantowanym sobie nawzajem wpływem na obsadzanie swoich tronów. „Litwini przyrzekli, że po śmierci Witolda nikogo sobie nie wyniosą na wielkiego księcia, chyba tego, którego im król za radą panów litewskich i polskich ustanowi, Polacy zaś zobowiązali się, że bez Litwinów króla sobie nie wybiorą“ — tak streścił rezultaty badań i poglądów naukowych na tę sprawę jeden z najlepszych znawców owych czasów, *Anatol Lewicki*.

Jednemu tu tylko dziwić się wypada: jak łatwo przeszło się u nas do porządku nad głównym, największym, najważniejszym,

zasadniczym ustępem aktu horodelskiego, który opiewa [1]): „chociaż swego czasu, kiedyto za natchnieniem Ducha Ś-go poznawszy prawdy wiary katolickiej, przyjęliśmy koronę polskiego królestwa, dla rozmnożenia wiary chrześcijańskiej i zapewnienia dobrego stanu i pożytku ziemiom naszym litewskim, one wraz z krajami i państwami im podległemi i przynależnemi, rzeczonemu królestwu naszemu polskiemu przywłaszczyliśmy, wcielili, złączyli, zjednoczyli, przydali, sprzymierzyli, za zezwoleniem jednomyślnem naszem i innych braci naszych, jakoteż za wolą i zgodą wszystkich panów, szlachty, dostojników i bojarów tychże ziem Litwy, to jednak, chcąc rzeczonym ziemiom Litwy zapewnić ochronę, bezpieczeństwo i lepszą opiekę przed najazdami nieprzyjacielskimi i zdradami Krzyżaków, ich sprzymierzeńców i wszystkich wogóle wrogów, którzy rzeczone ziemie litewskie i królestwo polskie zniszczyć się starają i nad ich zgubą pracują, ziemie te (litewskie), któreśmy zawsze dotychczas na mocy pełnego prawa władania i praw dostatecznych dzierżyli i dzierżymy po przodkach naszych i z tytułu urodzenia naszego, jako prawowity ich pan, za wolą, zgodą i przyzwoleniem panów, szlachty i bojarów wymienionemu królestwu polskiemu *po raz drugi, na nowo,* wcielamy, jednoczymy, przywłaszczamy, łączymy, sprzymierzamy i na wieczną przynależność oddajemy, postanawiając, aby one wraz ze wszystkiemi swymi państwami, księstwy, przełożeństwy, powiaty i posiadłościami na zasadzie praw wszelkich nieodwołalnie i nienaruszalnie z koroną królestwa polskiego były złączone“...

Cóż znaczy cały ustęp powyższy? Jakżeż pogodzić z tem, tak silnemi słowy, zagwarantowanem tu niezaprzeczenie potwierdzeniem „po raz drugi“ „na nowo“ inkorporacyi całej Litwy na wieki w Koronę, owe wywody o unii dwóch państw, Litwy i Polski, w Horodle? Co więcej, jakżeż pogodzić z tą inkorporacyą owe dalsze części aktów horodelskich, które nietylko obecnie stwierdzają ale i na przyszłość przewidują różność osób na tronie królewskim polskim i na wielkoksiążęcym litewskim stolcu? Pomiędzy jednem a drugiem zdawała się zachodzić taka sprzeczność, że dla utrzymania pierwszego trzeba było odrzucić drugie i na odwrót.

Pod wpływem faktu, że na Litwie przez cały dalszy okres jagielloński byli wielcy książęta, zdecydowano się w nauce naszej

---

[1]) Działyński Zbiór praw lit. str. 11 rozdz. III.

na odrzucenie głównej, inkorporacyjnej części aktu horodelskiego — i w ten sposób, milczeniem, sprawę załatwiono. W nauce rosyjskiej i ruskiej zwrócono baczniejszą uwagę na powyższy ustęp i zauważono sprzeczność między nim a dalszemi częściami. Z kolizyi tej wybrnięto tu tak, że powtórzoną w Horodle z takim naciskiem inkorporacyę całej Litwy w skład Korony polskiej uznano za pusty frazes, refleks bez treści istotnej, dawno zwietrzałych krewskich dokumentów, główną zaś wagę położono, zgodnie z nauką polską, na nową jakoby formę pożycia ze sobą dwóch odrębnych państw, Korony i Litwy, złączonych tylko umowami co do obopólnego współudziału w wynoszeniu na trony swoje nowych panujących. Jednem słowem proklamowano w nauce unię polityczną dwóch państw, unię horodelską.

Niechże więc dziś stwierdzonem zostanie, że w Horodle nigdy *żadna unia polityczna* Korony z Litwą zawartą nie została.

Proszę wziąć akt horodelski do rąk i uważnie go przeczytać. Cóż znajdziemy? Najpierw mamy, jak to już wyżej zaznaczono, najwyraźniejsze ponowne zatwierdzenie inkorporacyi całego państwa litewskiego w skład Korony.

Następnie idą punkty, dotyczące różnych kwestyi wielkiego księstwa litewskiego. Otóż ustępy te dalsze wszystkie odnoszą się tylko i wyłącznie do jednej części tej, złączonej nierozdzielnie z Koroną w jedno ciało polityczne Litwy, a mianowicie do Litwy właściwej t. j. do terytoryum wileńskiego i trockiego. Terytorya te stanowiły i używały jak wiadomo tytułu: wielkie księstwo litewskie, w ściślejszem, właściwem tego słowa znaczeniu i o nich jedynie i ich ówczesnym panu, wielkim księciu litewskim, mówią tylko i wyłącznie dalsze części aktu horodelskiego.

Że tak było, świadczy:

1. Zawarte w akcie zastrzeżenie, że w wielkiem księstwie litewskiem schizmatycy nie mogą sprawować urzędów. Zastrzeżenie to, t. z. ograniczenie schizmatyków, wprowadziło było w błąd wielu badaczy, interpretujących ten akt zgodnie z dotychczasowem pojmowaniem faktów horodelskich, jako odnoszące się do całego państwa. Badacze rosyjscy i ruscy wytaczali nawet z tytułu tego szereg rekryminacyi i wywodów na temat ucisku prawosławnych na Litwie pod wpływem polskim. Tymczasem, jak wiadomo, przez cały czas jagielloński siedzą na obszarze pań-

stwa litewskiego na różnych urzędach schizmatycy, z wyjątkiem tylko Wilna i Trok. Zastrzeżenie bowiem, że schizmatycy nie mogą sprawować w wielkiem księstwie litewskiem urzędów, odnosi się tylko do tych obszarów i stosownie też do tego musiał król Zygmunt I., gdy chciał zamianować schizmatyka, księcia Konstantego Ostrogskiego, wsławionego już dotychczas wielkiego litewskiego hetmana i pierwszego dygnitarza na Wołyniu, wojewodą trockim, wydać akt, orzekający, że nominacya ta niema w niczem uwłaczać postanowieniom aktu horodelskiego, iż schizmatycy w wielkiem księstwie urzędów sprawować nie mogą.

2. Akt horodelski dotyczy tylko i wyłącznie Wilna i Trok (właściwego wielkiego księstwa litewskiego) i jako taki podpisało go 45 panów litewskich, wyłącznie Litwinów i katolików (z jednym wyjątkiem). Wszyscy oni, to współherbownicy panów polskich, i wszyscy pochodzą wyłącznie i tylko z trockiego i wileńskiego.

3. Akt horodelski w drugiej swej części dotyczy tylko Litwy właściwej. Wszakżeż tworzy się w Horodle urządzenia wielkiego księstwa litewskiego na wzór polski, ustanawia się wojewodów i kasztelanów i osadza się ich tylko w Wilnie i Trokach.

4. W pojęcie wielkiego księstwa litewskiego, w ściślejszem tego słowa znaczeniu, nie wchodzi nawet Żmudź. Świadczą o tem odrębne ustawy i przywileje żmudzkie, które wyraźnie zastrzegają, że na Żmudzi urzędów nie mogą sprawować Litwini; świadczy odrębna organizacya wojenna żmudzka, świadczą wyraźne akty urzędowe, z których klasycznymi dla nas są ustawy ekonomiczne z r. 1529. Ustawy te jeszcze w XVI. w. umieją powiedzieć, co to jest wielkie księstwo litewskie[1]): „Ustawa dworow naszych w wielikom kniażestwie litowskom, tako wileńskom jako i trockom powietach“ — brzmi ich urzędowy, autorytatywny tytuł. Ustawa dla Żmudzi wydana została pod osobnym tytułem[2]). Wielkie więc księstwo litewskie, to województwo wileńskie i trockie.

5. W aktach horodelskich niema nigdzie i śladu równorzędności Korony z tem wielkiem księstwem litewskiem. Ustępu, zastrzegającego wzajemny równorzędny wpływ na wybór panujących, nigdzie tam dopatrzeć się niepodobna.

Postanowienia aktu horodelskiego dotyczące tronu, orzekają,

---

[1]) Działyński Zbiór praw lit. str. 126.

[2]) Ibid. str. 131.

że w tem wielkiem księstwie litewskiem będzie po śmierci Witolda wielkim księciem tylko ten, kogo król polski, lub jego potomkowie, za radą panów polskich i litewskich ustanowi. Tak jest w zapisie koronnym. W litewskim ustęp ten wypadł jeszcze wyraźniej: „obiecujemy, iż po zejściu Witolda nikogo nie obierzemy, ani wezwiemy na wielkie księstwo, jak tylko tego, kogo król Władysław, jeśli będzie żył, lub jego potomkowie, i prałaci, panowie i t. d. królestwa polskiego, obiorą i postanowią [1]). Niema tu słowa o jakichś prawach potomstwa Witoldowego lub jego spadkobierców. Po jego śmierci król i panowie rozrządzą wielkiem księstwem, jak uznają za stosowne.

Jest to najzupełniej zrozumiałe, gdyż to wielkie księstwo, jako część całego państwa litewskiego, wcielonego teraz na nowo do Korony, podlega władzy rządców koronnych.

Jak się zaś ma sprawa z tronem polskim? Otóż w obu aktach ustęp ten brzmi: „praelati, barones et nobiles regni Poloniae, rege Poloniae sine liberis et successoribus legitimis decedente, regem et dominum non debent eligere sine scitu et consilio nostro“...

A więc, jak długo będą żyli potomkowie i prawowici spadkobiercy Jagiełły, nikt z Litwy nie ma prawa udziału w osadzaniu ich na tronie polskim. Nie ma więc Litwa (a więc i wielki książę obecny, Witold) przedewszystkiem żadnego wpływu na koronę polską po śmierci Jagiełły, nie ma głosu przy dalszych zmianach tronu, byle tylko korona polska zostawała w jagiellońskim rodzie. Litwinom przysługuje prawo interwencyi jedynie na wypadek zmiany dynastyi. Zasadnicze zmiany faktyczne tych postanowień aktu horodelskiego sprowadziło wyniesienie na wielkie księstwo Kazimierza, zmiany prawne przyniósł dopiero akt wileński z r. 1499, normujący pod tym względem rzeczy tak, jak dotychczas mylnie interpretowano ustawy horodelskie.

Przez takie pojmowanie aktu horodelskiego, jak wyżej podano, wyjaśnia się dokładnie treść przyjętego przez Jagiełłę tytułu „Supremus dux“. Supremus dux — to pan całej Litwy, zwierzchniczy władca i wielkiego księcia na Litwie właściwej i innych książąt litewsko-ruskich, rozrzuconych po obszarze całego państwa.

Witold to tylko wielki książę na Litwie właściwej, na Tro-

---

[1]) Działyński Zbiór praw lit. str. 23.

kach i Wilnie, t. j. na oddanej mu przez Jagiełłę w dożywocie własnej, królowi dotychczas bezpośrednio podlegającej, odziedziczonej po ojcu i wydartej Kiejstutowi, wielkoksiążęcej litewskiej dzielnicy.

Władza Witolda w ziemiach litewskich poza tem terytoryum polega albo na prostem zastępstwie króla, na gubernatorstwie, jak to stwierdził sam Jagiełło w kontrowersyach o koronę na zjeździe łuckim, albo też na specyalnych przyzwoleniach ze strony Jagiełły, jak to n. p. dotyczyło Podola.

Takie pojmowanie aktu horodelskiego wyjaśnia niemało kwestyi ze stosunków polsko litewskich w. XV., tłumaczy późniejsze pretensye Korony do ziem litewskich poza właściwem wielkiem księstwem, tłumaczy ingerencyę Witolda w Koronie, tłumaczy fakt istnienia później na Wołyniu państwa Świdrygiełłowego za zgodą Korony, a wbrew wielkiemu księstwu litewskiemu, tłumaczy zabiegi separatystów litewskich o koronę królewską, „gdyż korona w koronę wcieloną być nie może“, daje wreszcie odpowiedź na rzucone niedawno przez jednego z obcych dziejopisów pytanie, dlaczego Polacy w Lublinie nie trzymali się aktu krewskiego, a powoływali się stale tylko na akt horodelski. Czynili to, bo był on najjaśniejszem, najwyraźniejszem i najsilniejszem prawnie stwierdzeniem inkorporacyi Litwy w skład ziem Korony polskiej.

Takie pojmowanie aktu horodelskiego wyjaśnia przedewszystkiem całą jego część polityczną. Niema tam, jak widzimy, żadnej sprzeczności, żadnej kolizyi, jest jasna i jednolita całość, której stwierdzenie w dzisiejszą rocznicę Horodła niechaj odda cześć należną wielkim naszym pradziadom, umiejącym budować państwa i łączyć narody.

W Krakowie, 2. X. 1913. *L. Kolankowski.*

Bakunin wobec Polaków i powstania styczniowego.

I.

Sprawa stosunków wzajemnych rosyjskiego obozu rewolucyjnego a naszych powstańców z lat 1863. — 1864. nie jest dotychczas wyświetlona należycie. Wie się głównie o stosunku do

powstania Aleksandra Hercena i redakcyi londyńskiego *Kołokoła*. Ale np. charakter poglądów na sprawę polską innego wybitnego rewolucyonisty rosyjskiego, Michała Bakunina, który w latach 1862.—1864. pociągnął za sobą Hercena i Ogarewa, poniekąd wbrew ich woli, jest dotychczas mało znany. Tymczasem w korespondencyi Bakunina znajdujemy sporo materyału do wyjaśnienia tej kwestyi.

Bakunin zawsze bardzo interesował się sprawami słowiańskiemi, a w tej liczbie, rozumie się, i polską, i stale utrzymywał stosunki z wychodźcami polskimi.

W r. 1847. Bakunin wygłasza mowę na bankiecie podczas obchodu 17. rocznicy powstania listopadowego w Paryżu. Mowa ta świadczy, że Bakunin w owym czasie posiadał już mniej więcej skrystalizowane poglądy na stosunek Rosyi do Polski, na znaczenie polskiego ruchu niepodległościowego dla oswobodzenia Rosyi z jarzma despotyzmu, na sojusz opozycyonistów rosyjskich z Polakami i na wagę rozwiązania sprawy polskiej dla Słowiańszczyzny i Europy.

W końcu tegoż 1847. roku Bakunin spotyka się w Brukseli z Lelewelem, Skrzyneckim i kilku innymi Polakami. „Przyjęcie, zgotowane mi przez Polaków — pisze do Annienkowa — włożyło na mnie olbrzymi obowiązek, ale zarazem dało i mnie możność działania“.

W r. 1848. Bakunin wybiera się przez Berlin do Poznania, ale zmienia kierunek i udaje się do Wrocławia, skąd wyjeżdża na zjazd słowiański do Pragi, gdzie znowuż wchodzi w styczność z Polakami — Libeltem, Chojeckim i innymi, co nie mogło nie wpłynąć na dalsze urabianie się jego przekonań w sprawie polskiej. Bakunin, wraz z Libeltem i serbskim delegatem, Zachem, zredagował odezwę do narodów europejskich w imieniu niefortunnego zjazdu, przerwanego wypadkami powstania praskiego.

Po zbombardowaniu Pragi przez wojska austryackie Bakunin wymknął się do Niemiec i tam ukrywał się w Berlinie, w Dessau i Cöthen. Wówczas to wydał „Odezwę do Słowian“, w której nawoływał Słowian austryackich do podjęcia inicyatywy w sprawie uwolnienia Polaków i Rosyan od Mikołaja I-go. Jednocześnie próbował połączyć demokratów słowiańskich z węgierskimi, dążącymi do niepodległości, i z niemieckimi rewolucyonistami. Aresztowany w maju r. 1849. w Kamienicy saskiej, przez rok siedział w twierdzy Königstein. Oddany następnie w ręce rządu austrya-

ckiego, w maju r. 1851. znalazł się we władzy caratu. Do r. 1854. trzymano go w twierdzy Petropawłowskiej, przez pięć lat następnych w Schlisselburgu (gdzie na chwilę zetknął się z nieszczęsnym Łukasińskim), wreszcie zesłano go na Sybir, skąd uciekł zagranicę w r. 1861.

Na Syberyi Bakunin stykał się z zesłańcami polskimi i korzystał z ich usług, korespondując np. ze swymi znajomymi i przyjaciółmi rosyjskimi za pośrednictwem Polaków, wracających do kraju.

W końcu r. 1861. Bakunin zjawia się w Londynie, gdzie go Hercen i Ogarew przyjmują jaknajserdeczniej, oczekując po nim dzielnej pomocy literackiej przy *Kołokole*. „Z chwilą przyjazdu Bakunina do Londynu polska struna poczęła dźwięczeć głośniej w wolnej drukarni rosyjskiej“ — mówi wydawca korespondencyi Bakunina. Istotnie, Bakunin z całą gwałtownością swego temperamentu począł oddziaływać na Hercena i Ogarewa w duchu sympatyj polskich — i porwał ich za sobą.

Bakunin szybko ponawiązywał stosunki z Polakami wszelkich odcieni partyjnych: z czartoryszczykami i demokratami, z katolikami, socyalistami i ze zwykłymi żołnierzami, czując się wszędzie jak w domu. W lutym r. 1862. Bakunin zamieścił w *Kołokole* artykuł p. t.: „Do rosyjskich, polskich i wszystkich słowiańskich braci“, w którym, zawiadamiając swoich przyjaciół o ucieczce z Syberyi, przyrzeka „poświęcić razem z nimi całą resztę swego życia walce o wolność rosyjską, o wolność polską, o wolność i niepodległość wszystkich Słowian“. W artykule tym Bakunin mówi dość dużo i o Polsce i o jej przyszłych losach w związku z losami Rosyi i całej Słowiańszczyzny.

Tymczasem rozwój wypadków w Polsce posuwał się nadzwyczaj szybko i perspektywy powstania nad Wisłą i Niemnem stawały się coraz wyraźniejszemi. Hercen już wcześniej — w latach 1859 — 1860 — niejednokrotnie zabierał głos w sprawie polskiej, ale wypowiedzenia się te były dalekie od praktycznego wzięcia udziału w rozstrzyganiu tej kwestyi. Bakunin pociągnął Hercena w sam wir akcyi, która dla tego ostatniego była w gruncie rzeczy mało sympatyczna. Rewolucyjny, ruchliwy temperament Bakunina wziął górę nad wszelkimi skrupułami Hercena...

To, co powiada sam Hercen [1]) o swym stosunku do powsta-

---

[1]) Sbornik posmiertnych soczinienij.

nia i o roli Bakunina w całej tej sprawie, najlepiej świadczy o różnicy stosunku praktycznego traktowania Polski powstańczej przez obu przedstawicieli opozycyjnej emigracyi rosyjskiej. Bakunin lgnął do powstania całą duszą, odrzucając wszelkie wątpliwości, ustawicznie dręczące Hercena. „Zawierucha polska zbliżała się coraz bardziej i bardziej — powiada Hercen. W jesieni r. 1862. zjawił się na kilka dni do Londynu Potebnia [1]). Smutny, czysty, bezgranicznie oddany huraganowi, przyjechał, aby pomówić z nami w swem własnem i swoich towarzyszy imieniu i iść jednak swoją drogą. Coraz częściej pojawiali się Polacy z kraju, ich język był bardziej określony i stanowczy, dążyli do wybuchu prosto i świadomie. Z przerażeniem czułem, że idą na zgubę niechybną.

— „Straszna szkoda Potebni i jego towarzyszy — mówiłem Bakuninowi — tem bardziej, że wątpię, czy ich droga jest wspólna z Polakami.“

— „Wspólna, wspólna — odrzekł Bakunin. — Przecież nie będziemy siedzieli wiecznie, złożywszy ręce i oddając się refleksyom. Historyę należy brać w takiej formie, w jakiej się przedstawia; inaczej będziemy zawsze albo zanadto ztyłu, albo zanadto wyforujemy się naprzód“.

Powściągliwość Hercena w stosunku do wysłańców Rządu Narodowego bardzo się nie podobała Bakuninowi.

— Czegoż ty chcesz jeszcze? — mówił Bakunin. — Polacy nigdy takich ustępstw nie robili. Oni się wyrażają inaczej, innemi słowy, przyjętemi u nich za katechizm; przecież, podnosząc sztandar narodowy, nie możemy na wstępie ubliżać drażliwemu uczuciu narodowemu... Podobnyś do dyplomaty na kongresie wiedeńskim: czepiasz się słów i wyrażeń. Przecież to nie artykuł dziennikarski, nie literatura...

Bakunina nie zadowalniała jego rola w Londynie. Rwał się do czynu, do bezpośredniego udziału w powstaniu polskiem. W tym celu udał się do Sztokholmu, ażeby stamtąd przez Finlandyę dostać się na Litwę i do Kongresówki, ale wkrótce zaniechał tego, gdyż gotująca się właśnie wyprawa Łapińskiego nadarzyła sposobność innego załatwienia sprawy. Ostatecznie jednak cała wyprawa spełzła na niczem, nie dobiwszy do brzegów Litwy, i Bakunin już nie ponawiał prób przedostania się na teren walki zbrojnej.

---

[1]) Oficer rosyjski, który później zginął pod Pieskową Skałą jako uczestnik powstania.

II.

Ażeby zrozumieć pobudki działalności Bakunina podczas powstania, trzeba zapoznać się z jego poglądami na sprawę polską w dobie pierwszego jego pobytu zagranicą.

W mowie, wygłoszonej w rocznicę powstania listopadowego, Bakunin mówi: „Dla mnie, jako dla Rosyanina, jest to rocznica hańby, tak — wielkiej hańby narodowej! Powiadam to głośno: wojna 1831. r. była z naszej strony walką szaloną, zbrodniczą, bratobójczą... ze strony mojej ojczyzny było to samobójstwo polityczne. Wojna ta była wzniecona w interesie despotyzmu, wcale zaś nie w interesie narodu rosyjskiego, gdyż dwa te interesy są absolutnie przeciwne wzajemnie. Oswobodzenie Polski było naszym ratunkiem i gdybyście zostali wolnymi, mybyśmy się nimi stali również; nie moglibyście stargać pęt króla polskiego, nie zachwiawszy tronem cesarza Rosyi... Ponieważ jesteście wrogami cara Mikołaja, wrogami Rosyi oficyalnej, jesteście przeto, nawet wbrew swej woli, przyjaciółmi narodu rosyjskiego“. W imieniu Rosyi nieoficyalnej, nie mającej nic wspólnego z urzędową, gnębionej, prześladowanej i niezadowolonej Bakunin proponuje Polakom sojusz. „Pogodzenie się Rosyi i Polski — to dzieło olbrzymie i godne tego, by się mu oddać całkowicie. Jest to wyswobodzenie sześćdziesięciu milionów ludzi, jest to uwolnienie wszystkich narodów słowiańskich, które jęczą w obcem jarzmie, jest to nareszcie upadek, ostateczny upadek despotyzmu w Europie. Niech-że nastąpi ten wielki dzień pogodzenia się — dzień, w którym Rosyanie, połączeni z wami jednakowemi uczuciami, walcząc o jeden i ten sam cel ze wspólnym wrogiem, otrzymają prawo zaśpiewać razem z wami narodową pieśń polską — hymn wolności słowiańskiej: „Jeszcze Polska nie zginęła!“

W „Odezwie do Słowian“ (1848) Bakunin dowodzi, że jedynym ratunkiem dla wszystkich Słowian jest rewolucya i dla tego powinni się łączyć z siłami rewolucyjnemi i raz na zawsze zerwać z reakcyą i dyplomacyą. Każe im łączyć się i z Madiarami, walczącymi o niepodległość i z demokratami niemieckimi, zwalczającymi absolutyzm. Wskrzeszenie Polski w szeregu narodów poda Słowianom sygnał płomienny, który, przerzynając mroki niewoli, poprowadzi wszystkich Słowian drogą oswobodzenia i zbawienia. „Tak, Polska — to strzała w ciele rosyjskiem; poniżenie Polski wytacza krew despotyi rosyjskiej; krzyż, na którym ukrzyżowała

ona męczennika, będzie jej własnym pręgierzem, pod którym zakończy swe życie plugawe. Mikołaj przeczuwa to, wie to i dlatego coraz głębiej wpija swe szpony jastrzębie w członki nieszczęśliwego, rozszarpanego polskiego ciała, dręczony strachem i drżący wobec możliwości, że członki nieśmiertelne przecież zjednoczą się i znowu połączą się w jedno ciało żyjące, ażeby zgotować dawno dojrzałą, ale nie spełnioną straszną zemstę swemu i wszechsłowiańskiemu katu". W Moskwie będzie rozbita niewola wszystkich połączonych pod berłem rosyjskiem narodów słowiańskich a jednocześnie i cała niewola europejska. Przez rewolucyę do powszechnej federacyi republik europejskich — oto hasło Bakunina.

„Odezwa do Słowian" była ostatnim utworem Bakunina pierwszej doby działalności jego w dziedzinie stosunków słowiańskich. Zawiera ona mnóstwo szumnych frazesów i twierdzeń niekonsekwentnych, nacechowana jest przesadną wiarą w możliwość ogólnosłowiańskiej walki o wolność i jeszcze bardziej przesadną wiarą w rewolucyjną „demokracyę" rosyjską, już już gotową obalić despotyzm carski i „zapalić w Moskwie gwiazdozbiór rewolucyi z morza krwi i ognia", którym się stał „gwiazdą przewodnią dla szczęścia całej oswobodzonej ludzkości". „Odezwa" ta była świadectwem, że Bakunin nie znał dokładnie ani słowiańskich, ani polskich, ani rosyjskich stosunków realnych i snuł marzenia najzupełniej fantastyczne.

Dwunastoletnia przymusowa przerwa w działalności Bakunina — pobyt w więzieniach i na Syberyi — nie wpłynęła przygnębiająco na jego żywą, entuzyastyczną naturę. Znalazłszy się na wolności, Bakunin pisze z S. Francisco (15. października 1861. r.) do Hercena: „Przyjaciele, całą mą istotą dążę ku wam i jak tylko przyjadę, zabiorę się do pracy; będę wam służył w zakresie kwestyi polsko-słowiańskiej, która była moją idée fixe od r. 1846. i moją specyalnością praktyczną w latach 1848. i 1849. Rozbicie, zupełne rozbicie cesarstwa austryackiego będzie ostatniem mojem słowem, nie mówię czynem, bo to byłoby zbyt ambitnie; — w służbie tej wielkiej sprawy gotów jestem stać się doboszem lub nawet łajdakiem, a jeśli mi się uda pchnąć ją choć trochę naprzód, będę zadowolony. A potem zjawi się sławna, wolna federacya słowiańska — jedyne wyjście dla Rosyi, Ukrainy, Polski i wogóle wszystkich narodów słowiańskich".

Pierwszą pracą Bakunina w *Kołokole* po powrocie do Europy był właśnie artykuł „Do rosyjskich, polskich i wszystkich słowiań-

skich przyjaciół", a właściwie mówiąc tylko pierwsza część jego, gdyż zapowiedziany ciąg dalszy („do braci Słowian austryackich i tureckich") nie ukazał się. Na plan pierwszy wysuwała się bowiem coraz wyraźniej sprawa Polski. Ona też zawładnęła Bakuninem całkowicie, tak, że — jak pisał później — „myśleć teraz o Słowianach jest głupiem... zapomniałem nawet myśleć o nich. Cała kwestya zogniskowała się teraz między Polską a Rosyą".

Bakunin ułatwia porozumienie Polaków, wysłanników polskich kół rewolucyjnych, z Hercenem i jego przyjaciółmi, skupiającymi się przy *Kołokole*, co szło z wielką trudnością wobec odpornego stanowiska niektórych z nich, jak np. Martyanowa — ludowca monarchisty — a w znacznym stopniu i samego Hercena. Bakunin musiał używać całego zasobu argumentacyi, ażeby wszczepić swym towarzyszom pogląd, że „dopóki Polska w kajdanach, Rosya, skazana na rolę kata, nie zobaczy nawet cienia swobody". W końcu Bakunin przezwyciężył wszystkie skrupuły i wątpliwości Hercena i pociągnął go razem z Ogarewem za sobą.

Dnia 19. listopada 1862. r. pisze z radością: „...udało się nam nareszcie zawrzeć sojusz zaczepno-odporny z polskim Centralnym Komitetem Narodowym w Warszawie dla zburzenia wspólnemi siłami obecnego porządku. Nasze wojska w Królestwie, na Litwie i na Ukrainie, t. j. oficerowie dwóch korpusów weszli już w sojusz i uformowali komitet wojskowy z następującem hasłem: „Ziemla i Wola", określającem cel i znaczenie gotującego się ruchu... Na wiosnę będzie w Królestwie polsko-rosyjskie powstanie, w którem bez wątpienia wezmę udział i ja... Komitety wojskowe rozszerzają się po całej Rosyi razem ze stanem wyjątkowym, wszędzie wprowadzanym przez rząd, — i wiążą się pomiędzy sobą. Sojusz nasz z nieszczęśliwą, zmęczoną Polską pobłogosławiony został i w Petersburgu i w Moskwie. Dla wszystkich swoboda, a granice pomiędzy nami, Polską i Ukrainą naturalnie określą się wolną wolą wyzwolonych narodów"... Bakunin w swym optymizmie nieokiełznanym widział już całą Rosyę, powstającą na hasło z Warszawy, malował zupełnie fantastyczne obrazy wrzenia rewolucyjnego w Rosyi i rwał się do czynnego udziału w powstaniu.

W Warszawie nastąpił wybuch. Ale optymistyczne przewidywania Bakunina nie sprawdziły się. W całej Rosyi panował spokój zupełny i, co gorsza, pokazało się, że spisek pomiędzy rosyjskimi wojskowymi nie przedstawiał żadnej siły, mogącej zaważyć

na szali wypadków. Bakunin w liście do Rządu centralnego polskiego stara się zwalić winę tego ostatniego faktu na Polaków, pisząc: „Kiedy wybuchł ruch polski, my, wasi przyjaciele rosyjscy w Petersburgu i Londynie, spodziewaliśmy się, że część wojsk rosyjskich Królestwa połączy się z wami. Wiadomości, któreśmy otrzymali, dawały nam podstawę do wierzenia, że tym razem oficerowie nasi i żołnierze, lepiej usposobieni, aniżeli w r. 1831., zrozumieją, że dla szlachetnego i rzeczywistego służenia swej ojczyźnie powinni wystąpić razem z wami przeciwko petersburskiemu rządowi, który rżnąc was, zniesławia i gubi Rosyę. Nasze nadzieje jeszcze nie ziściły się. Kto winien? Czy myliliśmy się co do nastroju wojsk rosyjskich? — Nie, nastrój ten w wielu pułkach, tak piechoty, jak i artyleryi, był doskonały; żołnierze z niecierpliwością oczekiwali hasła buntu. Dlaczegóż nie powstali? Niech Bóg mnie zachowa od oskarżeń! Przecież nam, Rosyanom, zwłaszcza w chwili obecnej, nieprzyzwoicie jest nawet pozwalać sobie na najdrobniejszy wyrzut względem narodu polskiego. Ale dla dokładnego ocenienia sytuacyi obecnej należy jeden fakt stwierdzić:

„Komitet centralny w Warszawie, który pierwotnie, zdawało się, brał do serca sojusz z partyą rewolucyjną w Rosyi i wiele liczył na sympatyczny nastrój wojsk, rozlokowanych w Polsce, zdaje się w ostatniej krytycznej chwili całkiem zmienił myśli i, nie ufając pozytywnym i w dostatecznej mierze słusznym zapewnieniom naszych oficerów, zdaje się uwierzył, że liczyć na pomoc wojsk rosyjskich byłoby głupstwem i że należy skorzystać z ich moralnego wstrząśnienia i chwiejności, ażeby napaść na nich niespodzianie i rozbroić... Z moralnego punktu widzenia Polacy mieli słuszność, gdyż dopóki chociażby jeden żołnierz pozostaje na polskiej ziemi, o ile nie jest sojusznikiem, przyjacielem, jest wyjęty z pod prawa. Zatem nic naturalniejszego, jak napaść nań, zabić go, ażeby zawładnąć jego bronią“. Ale praktycznie była to omyłka, ponieważ Komitet centralny „pozbawił siebie ważnej, powiem strasznej pomocy przeciwko rządowi rosyjskiemu“.

Z innych źródeł wiemy, jak słabą i nikłą mogła być pomoc oficerów rosyjskich, nie znajdujących prawie żadnego współczucia wśród żołnierzy, skorszych do bicia „buntowników“ — swych przełożonych, aniżeli do pomagania powstaniu. Ale Bakunin w swym optymizmie rewolucyjnym nie przestawał się łudzić i przypisywał nietaktowi Komitetu centralnego niechęć żołnierzy rosyjskich do powstańców. Jeszcze raz więc czyni rządowi po-

wstańczemu propozycyę połączenia sił rosyjskich z polskiemi, pisząc: „Przyłączenie wojsk rosyjskich do ruchu polskiego jest dla nas kwestyą usprawiedliwienia moralnego i honoru, dla was to kwestya ratunku... Możemy wam pomódz dwoma sposobami: przedewszystkiem dywersyą w Rosyi, niepokojąc rząd agitacyą wewnętrzną i przeszkadzając mu zogniskować wszystkie siły przeciw wam. W tym celu postaramy się przyspieszyć organizacyę tajnej propagandy w armii, jakoteż i w prowincyach, ażeby, jeśli wasza rewolucya rozpowszechni się aż do granic Rosyi, była tam spotkana i przeprowadzona dalej po bratersku... Drugi sposób służenia wam — to uformowanie w Polsce i w samym obozie rewolucyi polskiej legionu rosyjskiego. To jest moje główne dzieło i moje pragnienie najgorętsze. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że istnienie narodowego rosyjskiego legionu ze wspaniałym sztandarem „Ziemli i Woli“ wywarłoby olbrzymie wrażenie moralne i na całej armii rosyjskiej, skierowanej przeciwko wam i na całej Rosyi“.

List ten datowany jest 2. lutego 1863. r., ale już w trzy tygodnie później Bakunin zapatruje się na sprawę pozyskania wojsk rosyjskich w Polsce dla powstania znacznie pesymistyczniej.

Udając się do Szwecyi, ażeby stamtąd przedostać się do Polski, Bakunin pisze: „...rząd rosyjski nie śpi; rozjątrzył on naszych żołnierzy do tego stopnia, że szaleją (nieistowstwujut) jak zwierzęta — okrywają hańbą imię rosyjskie i wzbudzają przeciwko sobie powszechną nienawiść. Na takich żołnierzy, na korzyść takich żołnierzy niełatwo oddziaływać. A przecież należy spróbować. Tylko dla samej próby, dla przystąpienia do niej potrzebne są szerokie polskie sympatye i pomoc, a przy takiem postępowaniu wojska rosyjskiego czyż można ich oczekiwać?“

III.

Po nieudanej wyprawie Łapińskiego Bakunin coraz bardziej daje się ogarniać pesymizmowi i co do roli rewolucyjnych kół rosyjskich i co do samej sprawy polskiej. A jednak ani na chwilę nie przestaje wierzyć, że pomimo wszelkich różnic zasadniczych, Rosyanie powinni współdziałać z powstaniem polskiem. W projekcie odezwy do Polaków (z połowy 1863. r.) Bakunin mówi: „My, Rosyanie, oddawna jesteśmy przekonani, że sprawa polskiej niepodległości i polskiej wolności nie da się oddzielić od sprawy

oswobodzenia Rosyi. My, nienawidzący nie mniej od was petersburski, niemiecki caryzm, gubiący Rosyę i Polskę... my, oburzający się na okropności, popełniane przez naszych nieszczęsnych, zaślepionych i upojonych żołnierzy — przyszliśmy do was po to, ażeby dzielić wasz los, ażeby obronić razem z wami świętą sprawę wspólnej wolności, albo też razem z wami zginąć. I z radością zginiemy, jeśli trzeba, ponieważ wiemy, że nie zginie wolność i że oswobodzona Polska niebawem poda braterską dłoń oswobodzonej Rosyi".

Wyprawa Łapińskiego zbliżyła Bakunina do rzeczywistości rosyjskiej i polskiej. Zaczyna on rozumieć, że własne fantazye uważał dotychczas za fakty, że powstańcy polscy, walczący przedewszystkiem o niepodległość ojczyzny, bynajmniej nie podzielali jego skrajnie rowolucyjnych poglądów i nawet bali się ich, nie wierząc, ażeby sprawa polska zyskała co na przyłączeniu się do niej ludzi takich, jak Bakunin. Przyznaje on już poniekąd racyę Hercenowi i Ogarewowi, ale dalekim jest od wysnuwania tych konsekwencyj, które im kazały pójść w prawo.

„...Tak, najlepszy Polak jest dla nas, Rosyan, wrogiem — pisał Bakunin 1. sierpnia 1863. r. — A przecież pomimo to nie możemy pozostać na uboczu wobec ruchu polskiego, ani żałować kierunku, któryśmy przyjęli. Milczeć i nic nie robić podczas takiej katastrofy — znaczyłoby to zabić siebie: moralnie i politycznie. ...Niewola Polski — to nasze nieszczęście. Czyny wojsk rosyjskich w Polsce — to nasza hańba. Tryumf Petersburga w Polsce byłby zgubą dla Rosyi... W mojem niezłomnem przekonaniu główny nasz wróg — to Petersburg... Tak, głośno wypieram się rosyjskiego państwowo-carskiego patryotyzmu i będę się cieszył z ruiny caratu, skądkolwiekby przyszła".

Widząc, że wśród społeczeństwa polskiego znikły wszelkie sympatye do efemerycznego ruchu rosyjskiego, Bakunin przyznaje, że „my Rosyanie powinniśmy, zdaje się, powstrzymać się od bezpośredniego udziału w ich sprawie", ale nawet w najbardziej pesymistycznym nastroju nie pozwala sobie na wypowiedzenie wątpliwości: „po czyjej stronie są zasady socyalne" — czy po stronie powstańców, czy też „satrapów petersburskich, oddających chłopom ziemię obywateli ziemskich" (list Hercena do Bakunina z 1. września 1863. r.). Wszelkie pogłoski o wznowieniu powstania, o przybraniu przezeń charakteru społecznego, budzą w Bakuninie nowe nadzieje. W połowie kwie-

tnia Bakunin pisze: „rewolucya polska nietylko nie zakończyła się, ale według mego głębokiego przekonania tylko się rozpoczyna. Zakończył się tylko krwawy prolog pod nazwą „bohaterski upadek polskiej demokracyi szlacheckiej“. Poczęła się polska chłopska sprawa, której rząd rosyjski nigdy nie będzie w stanie ani uśmierzyć, ani zaspokoić, a z demokracyi szlacheckiej, z rewolucyjnego mieszczaństwa i ludu miejskiego przecież nie wszyscy wyrznięci i zesłani na Sybir“. „Na Zachodzie też zakończył się przypływ reakcyi — począł się znowu przypływ rewolucyi“. Bakunin znowu odzyskuje wiarę w polską rewolucyę i znowu twierdzi: „W Polsce, i to właśnie w Polsce pocznie się koniec rosyjskiego caryzmu i państwa wszechrosyjskiego“.

Niestety, nadzieje te spełzły na niczem. Powstanie polskie stłumione zostało krwią i szubienicami, a w Rosyi zamiast wybuchu rewolucyjnego rozległo się dzikie, ludożercze wycie *Moskowskich Wiedomosti* z towarzyszeniem oklasków całej inteligencyi, niedawnych zwolenników H e r c e n a. Wpływ *Kołokoła* upada prawie zupełnie i sam Hercen z goryczą wyrzuca Bakuninowi, że ten go pomimo woli wciągnął do czynnego udziału w sprawie polskiej.

W owym to czasie najwyraźniej występuje przeciwieństwo poglądów Hercena a Bakunina. Przytaczam tu najbardziej charakterystyczne wyjątki z listu Bakunina, pisanego 19. lipca 1866. r., a zawierającego dosadną, ostrą krytykę poglądów Hercena i jego przyjaciół, świadczącą, że Bakunin stał na całkiem odmiennem stanowisku, aniżeli jego rosyjscy sojusznicy z czasów powstania. „Wasza teraźniejsza droga jest dla mnie niezrozumiała — pisał Bakunin — polemizować z wami nie chciałem, ale zgodzić się nie mogłem... Czytając wasze epistoły do A l e k s a n d r a II., trzeba sądzić, że wierzycie w możliwość jego poprawy — ja zaś sądzę przeciwnie, że gdyby nas posadzono na jego miejscu i przetrzymano na niem rok, dwa lata — to stalibyśmy się takimiż bydlętami, jak i on. Wy macie za złe swym byłym przyjaciołom, że stali się denuncyantami i katami. Mnie się, przeciwnie, zdaje, że kto pragnie zachowania całości caratu, ten powinien śmiało stanąć po stronie Murawiewa... Dekabryści posiadali w obydwóch, dzielących ich, partyach więcej logiki i stanowczości: J a k u s z k i n chciał zarznąć A l e k s a n d r a I. jedynie za to, że ten śmiał pomyśleć o połączeniu Litwy z Polską, P e s t e l zaś śmiało ogłaszał rozbicie caratu, wolną federacyę i rewolucyę społeczną. Miał więcej śmia-

łości od was, bo nie uląkł się zajadłych krzyków przyjaciół i towarzyszy spiskowych, szlachetnych ale ślepych członków północnej organizacyi. Wy zaś przelękliście się i cofnęli przed sztucznym, kupionym sykiem moskiewskich i petersburskich dziennikarzy, podtrzymywanych przez podłą masę plantatorów i moralnie zbankrutowaną większość uczni Bielińskiego i Granowskiego, twoich uczni, Hercenie“...

Bakunin piętnuje ową wiarę Hercena w cara, „który być może zawrze w sobie Stieńkę Razina“, drwi z „obszczyny“, która była kamieniem węgielnym poglądów społeczno-ekonomicznych Hercena. „Dlaczego — pisze — nie rozwiniecie w swym *Kołokole* tej ważnej, decydującej dla waszej teoryi kwestyi: dla czego ta „obszczyna“, po której spodziewacie się takich cudów w przyszłości, w ciągu 10 wieków swego istnienia nie wytworzyła z siebie nic oprócz najsmutniejszej ohydnej niewoli“? Bakunin nie szczędzi Hercenowi gorzkich wyrzutów za jego „zmianę frontu“ po powstaniu i czyni (w liście z 20. kwietnia 1867. r.) następującą „spowiedź“, jak ją sam nazywa, w sprawie swego udziału w przygotowaniach powstania polskiego: „Tak, pragnąłem zupełnego powodzenia ostatniej polskiej rewolucyi i w miarę sił gotów byłem przyczyniać się do jej tryumfu; przedewszystkiem dlatego, że, jakkolwiek program jej bynajmniej nie odpowiadał naszym życzeniom i naszym przekonaniom socyalistycznym... — rewolucya ta była w stosunku do państwa petersburskiego sprawą świętą i sprawiedliwą; a następnie dlatego, że jej powodzenie przyniosłoby znaczną szkodę — nie Rosyi, jak mówi Aksakow, ale carstwu wszechrosyjskiemu; a wszystko, co przynosi szkodę temu ostatniemu i przyczynia się do zburzenia tego zgubnego więzienia tatarsko-niemieckiego, wszystko to z konieczności zbliża oswobodzenie i korzyść wtrąconych doń narodów Rosyi“.

Ustęp ten doskonale charakteryzuje całokształt poglądów Bakunina na sprawę polską i na powstanie 1863., r. a zarazem wyodrębnia te poglądy od zapatrywań Hercena i jego towarzyszy. Tamci przystępowali do udziału w sprawie polskiej trawieni wątpliwościami doktrynerów-teoretyków, Bakunin usuwał swe wątpliwości na plan dalszy i rzucał się całkowicie w wir praktycznej akcyi rewolucyjnej. Hercena opanowywały zwątpienia co do tego, czy droga socyalistów rosyjskich a droga powstańców polskich jest jedna i ta sama. Bakunin twierdząco rozstrzygał te pytania, gdyż wierzył, że usamowolnienie Polski musi konsekwentnie do-

prowadzić w niej do radykalnych reform społecznych. Wierzył również, że oderwanie się Polski od Rosyi wcześniej czy później doprowadzi do samodzielności ludów Litwy i Rusi i do federalistycznego układu stosunków na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. Hercen — jak słusznie twierdził Dragomanow — przy całym swym wolteryanizmie i saintsimonizmie był moskiewskim słowianofilem, albo lepiej — wielkorusofilem, który dążył do tego, by i wolteryanizmowi i socyalizmowi nadać piętno wielkorosyjskie. Uważał, że Polska pod wpływem Zachodu zatraciła najdroższą część swej słowiańskości — „obszczynę“ i dlatego skazana jest na pomoc Wielkorosyi, by się odrodzić. Bakunin — jak już widzieliśmy wyżej — doszedł do uznania szkodliwości obszczyny, sprawy rewolucyi w Rosyi nie oddzielał od ogólno-europejskiej sprawy rewolucyjnej, oswobodzenie zaś Polski uważał za pierwszy krok do odrodzenia Rosyi, kiedy Hercen bardzo sceptycznie odnosił się do kwestyi pożądaności oddzielenia się Polski od Rosyi. Hercen gotów był uwierzyć w to, że car Aleksander II. może się przekształcić w Stieńkę Razina i wytworzyć rewolucyę z góry, a działalność Milutinów i Czerkawskich w Królestwie traktował z sympatyą [1]). Bakunin, przeciwnie, nie wierzył w cara i carski demokratyzm Milutina uważał za zgubny. Hercen popierał powstanie i dał się wciągnąć do sojuszu z Polakami prawie wyłącznie z pobudek humanitarnych, ze współczucia dla uciskanych i prześladowanych. Bakunin szedł za Polakami głównie dla tego, że niepodległość Polski uważał za śmierć caratu, za pierwszy krok do rozbicia „tatarsko-niemieckiego“ więzienia [2])...

Leon Wasilewski.

---

[1]) W *Kołokole* ukazał się artykuł Ogarewa, proponujący ni mniej ni więcej, jak kolonizowanie Królestwa i Litwy chłopami wielkoruskimi.

[2]) W artykule powyższym wyzyskałem materyały, zawarte w zbiorze listów Bakunina do Hercena i M. Ogarewa, wydanym w r. 1896. w Genewie przez Dragomanowa, oraz w autokopiowanej biografii Bakunina, napisanej przez M. Nettler'a (Londyn 1896—1898).

Z podróży w kraje południowych Słowian.

(Dokończenie).

III.

W morzu kamiennem.

Gdy pociąg przy pomocy szyny zębatej na górę Ivan się wdrapie, jesteśmy na granicy Hercegowiny. Dział wód, jaki tu pasmo gór granicznych między morzem Czarnem a Adryatyckiem stanowi, jest zarazem działem dwóch stref odrębnych; i znów, co tu widzisz, zgoła jest odmienne: inny tu klimat, inna roślinność, inny krajobraz, inni i ludzie i ich budowle. Bośna, jak ogród zielony w pamięci się odnawia, a przecie i ona jest krajem skalistym. Góry Bośny okryte zielenią, choć skąpą, znikają, znikają pólka uprawne i drzewa śliwkowe, a ukazują się skały prawie nagie, kępy zieleni coraz rzadsze; im dalej ku południowi, tem krajobraz dzikszy i pustszy, morze i morze kamieni. Brak chleba starała się tu natura pięknością odpłacić, ale przecież i chleb tu być musi, boć od niepamiętnych czasów ludzie tu żyli i żyją. Dopiero, gdy opuścisz przedział wagonu, gdy przyjrzysz się bliżej życiu tych ludzi, przekonasz się, że praca ludzka wydarła tu skałom gruntu skrawki, a nawet obszary, że dzikość natury ujarzmiła, że są tu doliny, których żyzność wszelkie spodziewanie przechodzi. Zboża mało tu uprawiają, więcej kukurudzy na codzienny użytek, z powodu zaś wybitnie południowego klimatu udają się najprzedniejsze gatunki win i tytoniu, oliwki, figi i przewyborne owoce. Są przecież takie okolice, gdzie daremnie szuka się odpowiedzi na pytanie: czem tu człowiek żyje? W drodze z Mostaru do Dubrownika, poza miasteczkiem Gabela, z doliny żyznej serpentynami wjeżdża pociąg na skalisty płaskowyż — i jedzie się godzinami całemi i nie widzi się nic, jeno nagie skały; widzi się i wodę wreszcie, bo po pewnym czasie kolej czepia się ścian skalnych nad brzegami kilkadziesiąt klm. długiego jeziora. Kamień i woda i — więcej nic, a przecież dość liczne tu wioski, są nawet i miasteczka; te drobne skrawki kamienistej roli, te rzadkie kępki drzew są przecież prawie niczem; czem więc żywią się tu ludzie, pytamy z gorączkową ciekawością sami siebie i wieśniaków, których zaprosiliśmy na towarzyszów podróży. Nie dali nam na razie

odpowiedzi, lecz kazali czekać. I oto po niedługim czasie poczyna się pokazywać dno jeziora, wreszcie woda znika i płaskie dno jeziora zamienia się w urodzajną glebę. Tu, gdzie przed kilkoma dniami stała woda i ryby łowiono, teraz rojno, ludzie orzą z gorączkowym pospiechem i sieją kukurudzę i zboże; tam, gdzie jeszcze stoi woda, za kilka dni będzie to samo. Dobrotliwe tonie na kilka letnich miesięcy nikną wraz z rybami gdzieś w podziemnych czeluściach, odpływają i rzeką, jaka się na środku tworzy i ustępują miejsca pod chleb. Dziwne to i cudowne zjawisko przyrody! Ale biada tym ludziom, gdy woda w mniej upalny rok przedwcześnie o swoją własność się upomni; wówczas nie dostaje się im ani źdźbło, plon cały staje się nawozem przyszłego posiewu, a całą nagrodę za pracę stanowi głód i nędza! Na Popovem polju, bo polem, nie jeziorem zwie się to jezioro, wznosi się przysadkowata kamienna kapliczka; nabożeństwem w niej zaczyna się praca na dnie jeziora; w zimie wcale jej z pod wody nie widać.

Kolej z Sarajewa do Dubrownika należy do najpiękniejszych w Europie; cała ta jazda jest jednem pasmem rajskiego zachwytu — i natura i ludzie stworzyli tu arcydzieła. I zdaje się, że się to wreszcie musi skończyć, że niepodobna, by te wysiłki jednej i drugich końca prawie nie miały, a przecież nietylko się nie kończą, ale coraz się wzmagają, dopóki pociąg w Dubrowniku nie stanie. I gdyby się chciało te piękności opisać, czuje się, że i słowo i pędzel są na to za słabe. Wązkie przesmyki, w których ręką mógłbyś z okna wagonu o skałę zaczepić, rozstępują się miejscami i otwierają się najwspanialsze panoramy górskie z ośnieżonymi szczytami, które wabią i nęcą, bo tu w dole upał szalony doskwiera. Wsi i miasteczka, jak Konjica, Jablanica, Počitelj, malowniczem położeniem i u tych zdumienie wywołują, co wiele świata zwędrowali i nie są skłonni do częstych zachwytów. Neretva (Narenta), główna rzeka w tym kraju, toczy swe szmaragdowe nurty wzdłuż drogi żelaznej, pieni się, szumi, o skalne progi rozbija, przykuwa oczy bogactwem kolorów, romantycznością skalistych wybrzeży i zmusza, choćby najzimniejszego do przyznania, że jest ona prawdziwym poematem natury. A pociąg wije się po niezliczonych krzywiznach, przebywa mosty, tunele, wiadukty, przesuwa się po gzemsach skalnych, pcha się w góry, to znów gwałtownie opada, a kiedy wreszcie z góry, już za dalmatyńską granicą, ukaże się oku błę-

kitny szmat morza i znów zniknie, by się za chwilę w całym bezmiarze ukazać i kiedy w szalonych zygzakach zaczniesz się nad zatoką z góry staczać ku cudnemu Dubrownikowi, zachwyt przechodzi w nieme osłupienie, w jakieś upojenie i rozmarzenie błogie, bo to, co się tu widzi, przeszło sny wyobraźni, bo takich wrażeń przeżywa się w życiu bardzo niewiele.

* * *

Ażeby przyjrzeć się bliżej tajnikom tutejszej przyrody, zatrzymaliśmy się na kilka godzin w Jablanicy, wiosce, gdzie dzikość tej przyrody w całej pełni występuje. Położona wśród najwyższych wzniesień, jest Jablanica punktem wyjścia dla turystycznych przedsięwzięć: ma więc i hotel rządowy i park cienisty; z jednej jej strony widnieje wyniosłe pasmo Prenj planina (2.110 m.), z drugiej wyższa grupa gór Plassa (2.227 m), wszędzie zresztą, gdzie wzrok potoczyć, góry. Dla braku czasu nie było co myśleć o dalszej wycieczce, wybraliśmy więc jeden z bliższych szczytów grupy Plassa. Upominano nas, abyśmy się mieli na baczności z powodu mnóstwa jadowitych wężów, zwłaszcza szarych żmij z wystającym rożkiem na łbach, na których tępienie rząd po kilkadziesiąt tysiący koron rocznie podobno wydaje; i ledwieśmy kilkadziesiąt metrów do góry podeszli, wysunął się nam z pod nóg taki nosorożec potężnej wielkości, lecz czy się przemocy uląkł, czy też z grzeczności dla cudzoziemców, schował się zaraz pod kamienie. Wszyscy twierdzili, że się nic nie boją, ale nikt jakoś nie chciał na czele gęsiego pochodu postępować; wypadało przecież synowi Marsa, który w naszej ekspedycyi uczestniczył, a niedawno w „serbskiej wojnie“ chwalebny brał udział, udawać, że mu miło choćby i życie w obronie obywateli państwa oddać, więc z dobytym pałaszem wystąpił na czoło. Lecz już nie mieliśmy sposobności spotkania tak miłego ptaszka, aż dopiero w muzeum dubrownickiem... w spirytusie; natomiast zawarliśmy bliższą znajomość z dużą jaszczurką, „zelembaczem“ zwaną, arcymiłem i towarzyskiem stworzonkiem. Całe koloru jasno zielonego, podgardle ma niebieskie, przed człowiekiem ucieka tylko dwa, trzy kroki, poczem staje, odwraca się i ładnemi ślepkami ciekawie mu się przygląda, pozwala też podejść tuż do siebie i nawzajem sobie się przypatrzyć.

Jak w życiu bywa, że nie wszyscy do celu obranego docho-

dzą, tak było i na naszej wyprawie szczytowej; jednych żmija zawróciła z drogi, drudzy wrócili się, bo zagrzmiało w oddali, innym droga była niewygodna i stroma. Kilku nas tylko wyszło, a raczej wdarło się per fas et nefas na cypel skalisty, bez ścieżki, po ślizkich upłazach i skalistych złomach, rękami nie mniej, jak nogami się posługując. Lecz tu po raz pierwszy w podróży doznaliśmy niegościnnego przyjęcia. Prenj zagniewany na lichych turystów schował się w mgły zawojach, Plassa ukryła się poza wyższe cyple, zerwał się wicher, zamglił powietrze i bardzo niewiele mogliśmy zobaczyć.

Góry tutejsze należą budową do konstrukcyi Krasu, składają się głównie z wapienia, mają wiele szczelin, przepastnych pieczar we wnętrzu i są prawie zupełnie bezwodne. Kiedyśmy wracali, chmury się rozeszły i słońce południowe poczęło prażyć z całą siłą; spoceni i spragnieni do najwyższego stopnia, daremnie szukaliśmy źródeł i słuch natężali za szmerem strumieni. Źródeł tu na wyżynie niema, woda deszczowa ginie w szczelinach, żleby są zupełnie suche; brakuje i cienia — z drzew spotkaliśmy wyżej sosnę krępą i nizką, poniżej orzech włoski, z krzewów jałowiec z dużym jak wiśnie owocem.

Gdy u nas mówi się dziecku, że n. p. „Wisła wytryska u stóp Góry Baraniej“, wyobraźnię jego na mylne kieruje się tory; kto tam był, ten wie, że nie u stóp, lecz pod samym szczytem jej źródła tryskają, że choć się na to lub owo źródło jako na początek rzeki wskazuje, przecież na jej powstanie setki się źródeł i strumyków składa; tylko o rzekach Krasu można mówić, że u stóp tej lub owej góry tryskają. Źródła Bosny koło Ilidże kilku strumieniami z podnóża góry Igman wypływają, podobne do naszego źródła lodowego w Tatrach, obfitsze od nich, choć mniej piękne; koło Mostaru rzeka Buna z pieczary wypływa, za Jablanicą z pociągu można widzieć źródła Komadiny, która podpływa pod dwułukowy most na gościńcu i wodospadem do Neretwy wpada; cały jej bieg jednym się rzutem oka ogarnia; podobnie krótki żywot ma rzeka Ombla pod Dubrownikiem, ledwie, że potężną strugą z pod ściany skalnej wytrysła, a już o kilkaset metrów dalej w morską zatokę uchodzi. Takie rzeki i jeziora znikające są typowemi zjawiskami Krasu.

Bośna i Hercegowina są rajem dla turystów; kompleksy gór, do i ponad 2.000 m. wysokie, rozsiane są po całym kraju, a oprócz wymienionych grup sławy zażywa Vlašić nad Travnikiem, Bjelašnica

z obserwatoryum meteorologicznem w okolicach Sarajewa, Treskavica i inne. Klub turystyczny w stolicy kraju pracuje nad zorganizowaniem i udogodnieniem wycieczek górskich, a napływ obcych turystów wzmaga się silnie i obok rozwijającego się handlu, przemysłu i górnictwa, stanie się jednem z poważnych źródeł dochodów kraju. Turystyka ma tu wielką przyszłość, popiera ją usilnie i rząd krajowy, toteż ta „Szwajcarya Wschodu“ stanie niezawodnie do konkurencyi z krajami alpejskimi.

* * *

Malowniczością położenia nie ustępuje Mostar Sarajewu, owszem jeszcze je przewyższa. Oba miasta w kotlinie górskiej położone, tylko że gdy tam góry zielenią, chociaż skąpo, strojne, tu ujmują miasto w podłużne ramy skały zupełnie nagie, jasnego koloru, nawet mchem nie porosłe; tamto miasto ma kształt owalny, to jest podłużne, tam Milijacka, tu Neretva środkiem miasta płynie, tylko że ta ostatnia ze swą zieloną tonią bez porównania piękniejsza; tam i tu wdzięczne minarety nad miastem górują, ale tamte na czoła lip cienistych z góry spoglądają, te z ciemnymi cyprysami idą o wysokość w zawody.

Bośna i Hercegowina są krajami zasadniczo różnymi, język tylko i stosunki wyznaniowe te same, zresztą nic prawie. Tam flora strefy umiarkowanej, tu południowej; inny tu typ ludzi, inny ich strój, męski do czarnogórskiego zbliżony, u kobiet spodnica odzyskuje swe prawa (z wyjątkiem okolic Popovego polja). Inne tu budowle i domy; typ domu tureckiego o wysokim dachu, szerszej kondygnacyi piętra od parteru z podpórkami i zakratowanemi jak w konfesyonałach oknami, ustępuje miejsca kamiennym domom z płaskimi dachami o charakterze włoskim. Wogóle charakter Mostaru jest włoski, jedynie meczety przypominają, że nie jesteśmy na Apenińskim półwyspie; z sąsiedniej Dalmacyi promieniowały aż dotąd wpływy kultury romańskiej.

Słynął dawniej Mostar z wyrobów białej broni i z tęgich wojaków, dziś słynie z wina, tytoniu, wielkiego gorąca i wspaniałego mostu, od którego wziął nazwę. Trafiliśmy na łaskawą aurę, lecz zazwyczaj latem panują tu takie upały, że we dnie wszelkie życie, jak w południowych Włoszech, zamiera, aby ożyć dopiero wieczorem i nocą; lecz i noce nie przynoszą pożądanego chłodu, bo rozpalone we dnie skały nie pozwalają powietrzu ochłódnąć. Sławny most

nosi nazwę rzymskiego, lecz badacze dowiedli, że nie Rzymianie go zbudowali, lecz że powstał on za panowania tureckiego w w. XVI., wzniesiony ręką włoskich budowniczych. Długim ani wielkim ani szerokim on nie jest, bo i Neretwa w tem miejscu ma wązkie, głębokie koryto; imponuje on wysokością i przedziwną budową; nie ma żadnych filarów, lecz z podmurowania na jednym brzegu rzuca się załamanym łukiem na brzeg drugi. Wyobraźmy sobie kawał nawy szerokości kilku metrów, wycięty z gotyckiego kościoła i postawiony nad rzeką, a będziemy mieli coś podobnego. Po obu stronach wznoszą się tęgie baszty. Opodal innego rodzaju osobliwość: piwiarnie i winiarnie w obszernej grocie, a choć dzień to był według tutejszych wskazówek niby chłodny, nam tak dopiekało, że trudno było i tej osobliwości nie zwiedzić.

P. Kurtović wyprzedził nasz przyjazd do Mostaru i przygotował wszystko na nasze przybycie. Dyrektor szkoły rękodzielniczej, Czech, p. Prohaska, zgotował studentom bezpłatny nocleg w swej szkole i podjął się przewodnictwa po mieście, mieliśmy więc wszelkie informacye z najlepszego źródła. Żywioł serbski jest w Mostarze dość silny, ma tu siedzibę metropolita, a katedra grecka z zasiłkiem rubli rosyjskich nowo zbudowana, przedstawia się jako najokazalsza budowla w mieście. Jej wielkie kopuły z wyniosłego wzgórza panują nad całem miastem, a z przed bramy wchodowej ma się rozległy widok na jego całość; ze zwiedzenia wnętrza musieliśmy jednak zrezygnować, bo kościelni... nie mogli się kluczów doszukać. Zwiedziliśmy za to dokładnie świeżo założony bank serbski. I poprowadził nas jeszcze nasz uprzejmy przewodnik do Čaršiji tutejszej, do wielkich bazarów z oryentalnym towarem, pokazał nam i oryginalne młynki wodne i pola tytoniowe; nie ominęliśmy i meczetów, gdzie nas ominęła ceremonia zdejmowania butów, bo dowcipny hodża wpadł na pomysł podwinięcia dywanów,. a i do szkoły tureckiej wtargnęliśmy, w której umeblowanie ciasnych izdebek stanowią jedynie nizkie sofy, a w której wszelkie umiejętności ziemskie prócz koranowych są w pogardzie, a główny przedmiot nauki stanowi lenistwo; niewiadomo tylko, czy w tej umiejętności profesorowie, czy uczniowie prym dzierżą.

Bardzo żałowaliśmy, że brak czasu nie pozwolił na odbycie nadprogramowej wycieczki za miasto do rządowego zakładu kultury wina i owoców, do źródeł Buny i do wielkich piwnic z winem firmy Jellačić, których właściciel syna swego po nas

z zaproszeniem wysłał. Wina mostarskie są silne i wyborne, do burgundzkich i tokajskich zbliżone, za najlepsze uchodzą Žilavka, białe, Blatina i Skadarka, czerwone. Mieliśmy sposobność skosztować ich smaku, gdy nam na wieczerzy przyszło p. Kurtovića pożegnać i p. Prohasce za trud całodzienny podziękować i pogawędzić z gronem profesorskiem tutejszej szkoły handlowej, które prawie w komplecie do stołu z nami zasiadło; i miło zeszło nam tu ostatnich chwil kilka na werandzie paradnego hotelu Narenta, nad samym brzegiem tej rzeki w maurytańskim stylu też przez rząd wzniesionego.

Lecz szczęście nam sprzyjało i dalej, bo gdyśmy z żalem naszych opiekunów pożegnali, znaleźliśmy w Dubrowniku nowego ducha opiekuńczego w osobie rodaka naszego, kapitana Cz. Powitał nas, gdyśmy w Grużu (Gravosa) z pociągu wysiadali, pożegnał dopiero, gdy parowiec w pełny bieg się puścił; ułatwił nam sprawy codziennego chleba i dachu nad głową, wskazał wszystko, co zwiedzenia było warte i należało, na wycieczkę nas zawiózł i u źródeł Ombli ugościł; jednym szturmem zdobył młode serca i pamięć o sobie ze wspomnieniami Dubrownika w jedno połączył.

*
* *

Gdym rzucił okiem na Dubrovnik (Ragusa), przypomniał mi się Neapol. Tak — tylko z Neapolem można to prześliczne miasto porównać; oba na tle gór łysych ku morzu amfiteatralnie spadają, oba odbijają się w falach błękitnego morza, oba wrzynają się w nie skalistymi cyplami, na których tam Castel del'Ovo, tu Castel s. Lorenzo spienione bałwany w pył wodny rozbija, oba w bujną roślinność południową strojne, naprzeciw obu wyspy kwieciste, tam Capri, tu Lokrum (Lacroma) leżą; brak tu tylko dymiącego stożka wulkanu, zresztą jest wszystko, co i tam, równie jak tam piękne, tylko rozmiarami mniejsze. Dubrownik — to Neapol w miniaturze. A sympatyczniejszy on o tyle, że gdy tam tłumy natrętnych lazaronów obrzydzają pobyt, tu ma się do czynienia z dobrodusznym Słowianinem.

Dla ludzi interesu niema w Dubrowniku miejsca; brak tu fabrycznych kominów, brak huku i świstu maszyn, słychać tylko poszum morza, szepty oliwek i pinii; nawet wrzawy miejskiej nie usłyszysz, turkotu dorożek i dzwonków tramwaju; miasto ciche, spokojne, jakby w zadumie o swej świetnej przeszłości pogrążone;

dziedzina to synów Muz, dziedzina artystów i badaczów sztuki. Nawet ruch handlowy i portowy za miasto pół mili wygnany. Dworzec kolejowy stoi w Grużu (Gravosa), tam też do portu zawijają wszelkie okręty, stąd tramwaj elektryczny do miasta podróżnego wiezie, a raczej nie do miasta, lecz pod miasto tylko. Zamykają mu drogę potężne mury forteczne i brama, pod którą zygzakowatą drogą w dół musi się schodzić; wszystko, co nowożytne, musiało się przed tymi murami zatrzymać, a więc kamienice, parki, hotele wspaniałe w powodzi róż, palm i zieleni tonące; wewnątrz murów zostało miasto stare, takie, jakiem je Rzeczpospolita dubrownicka odeszła. Nawet dla drzew miejsca tu niema, wszystko zajęte zwartą masą budowli. Jedna większa ulica Stradone, nie większa jednak od Floryańskiej w Krakowie, kilka placyków i labirynt poprzecznych wąziuchnych uliczek — oto cały Dubrownik.

Charakter miasta najzupełniej włoski, a jak w Mostarze meczety i język ludności przypominały, że nie jest się w południowych Włoszech, tak tu tylko to drugie z błędu wyprowadza. Wszystko tu nosi piętno kultury romańskiej, bo tu Rzymianie długo panowali, włoskie wpływy do dziś dnia sięgają, założenie zaś miasta jeszcze greckich czasów sięga. Kolonia Epidaurus teraz Starą Raguzą się nazywa, a samą grecką nazwę dziś tylko wino tutejsze nosi.

Jak z położenia Neapol, tak z gmachów publicznych i okazałych kościołów Dubrownik Wenecyę przypomina, tylko w tym samym stosunku miniatury; przypomina ją jeszcze i z historyi. Sztuka architektury prawdziwe święciła tu tryumfy; pałac rektorów na weneckim pałacu dożów wzorowany, gmach miejski, dziedziniec i wnętrze dzisiejszego starostwa, katedra, kościół św. Wawrzyńca, patrona miasta, dziedziniec w klasztorze Franciszkanów, z bogatą starą biblioteką — to dzieła stylowe i w podziw znawcę sztuki wprawiające. Ale przecież nad wszystko imponują mury forteczne, zachowane w całości i przez wojskowość w posiadaniu trzymane, mury tak potężne, że zda się Cyklopie, opasujące miasto dokoła kamiennym pierścieniem, zewsząd zbrojne bastyonami, zwłaszcza od strony morza na skalistych cyplach romantycznie ustawionymi. I te potężne mury przywodzą wspomnienie, że istniała tu, jak w Wenecyi, mała, ale potężna republika, która pod rządami oligarchii wzrosła w siłę i bogactwo i która jedna ocaliła wolność, gdy cała południowa Słowiańszczyzna w nie-

woli jęczała. Biły w te mury bałwany wzburzonego morza i nie pokruszyły ich, biły z tymsamym skutkiem działa zdobywców, ale stopa żadnego z nich nie postała za niemi; dopiero Napoleon I. więcej urokiem swego imienia, niż orężem dokazał, że otwarto bramy utracie wolności. I w pałacu rektorskim rozegrał się wtedy wstrząsający dramat między duchami słabych i lękliwych a niezłomnością silnych, dramat, wiele pokrewieństwa z naszymi sejmami rozbiorowymi mający, w którym Orsat Wielki rolę Rejtana czy Kordeckiego odegrał [1]).

W kościele katedralnym oprócz malowideł mistrzów włoskich z epoki renesansu, znajduje się skarbiec, który świadczy o bogactwie minionej epoki. Pełne tu szafy drogocennych naczyń, relikwii w złoto oprawnych, wotów pobożnych, darów monarszych z odległych stron świata; nie wiadomo, czy więcej się dziwić obfitości złota i drogich kamieni, czy arcykunsztownej robocie średniowiecznych mistrzów, jak n. p. bukietowi kwiatów ze złota, srebra, kości słoniowej i kamieni.

Ma i muzeum miejskie moc zabytków archeologicznych jeszcze i z rzymskich czasów i z późniejszych, n. p. broń średniowieczna, stroje rektorów, ale najbogatszy jest dział przyrodniczy, zwłaszcza fauny morskiej z okazem niebywałej wielkości żółwia morskiego.

Lecz ponad wszystko, co mistrzowie śmiertelni zrobili, stoi tu to, co arcymistrz świata zbudował: piękno przyrody. Miasto o jego okolice, uśmiechami bogów stworzone, jedno z najpiękniejszych na świecie. Wyspa Lokrum o kwadrans jazdy parostatkiem od niego oddalona, to raj czarowny, to gaj zielony po szafirowem morzu pływający. I niewiadomo, poco tu człowieka oprowadzają za wysoki wstęp po szeregu pustych komnat pałacyku, w którym niegdyś Maksymilian meksykański i arcyksiążę Rudolf wytchnienia szukali; dziś mieszka tu tylko pustka i wspomnienia, a gospodarują zakonnicy, którym to ustronie w podarku od monarchy Austryi przypadło w udziale. Z pałacu wywieziono wszystko, pozostał tylko ogród, nie tyle sztuką ogrodniczą, ile przez samą naturę strojny. Co tylko najładniejszego wydaje roślinność południa, tu na małej przestrzeni, podobnie jak i w miejskim parku, zebrane; uśmiechają się więc do przechodnia kwi-

[1]) Na tle tej chwili dziejowej osnuł poeta Vojnović część swej Trylogii Dubrownickiej, o której obszerniejszą pracę zob. w zeszycie sierpniowym 1908.

tnące krzewy migdałowe, wonne oleandry, kaktusy, drzewa pomarańczowe, a nadewszystko róże, których tu nieprzebrane mnóstwo; i nie tylko w ogrodzie sycisz oko ich widokiem i poisz się ich wonią, ale widzisz je i na ścianach pałacyku, na które pną się jak mrowie. Te róże to najładniejsza rzecz w tym pałacu.

A wysepka sama? Jest jeszcze kościół na jej najwyższem wzniesieniu, a zresztą nic, żadnych budowli, tylko las piniowy, gdzieniegdzie jeszcze ciemne cyprysy. Cisza tu, cień i spokój, tylko łagodny plusk morza dochodzi, gdy nad wybrzeżem się stanie; z przeciwnej od miasta strony dal morska bez kresu, błękit nieba i ciemniejszy od niego błękit morza i powódź złotego światła słonecznego. W skałach nadbrzeżnych fale wyżłobiły fantastyczne groty i okienka, nawet podziemnymi korytarzami wdarły w głąb lądu i plusk ich da się przez szczeliny posłyszeć, a w lejkach otwartych potworzyły nęcące do kąpieli stawki. Trudno byłoby znaleść drugie takie miejsce, któreby tak dobrze nadawało się czy dla leczenia bólem zranionego serca, czy dla marzycielasamotnika, czy wreszcie na poetyczne ramy upojeń miłosnych.

I nie dziw, że w tym Dubrowniku zrodziła się bujna i bogata poezya, raczej dziwićby się przyszło, gdyby było inaczej. Przez wiek XV., XVI. i XVII. kwitło tu wiele talentów poetycznych i niemałej miary, które swą ojczyznę aureolą sławy otoczyły. Szeroko słynęła w świecie ta dalmatyńsko-dubrownicka poezya i wszędzie budziła uznanie; książęta włoscy uczyli się języka Chorwatów, by módz te utwory poznać w oryginale, a Ariost nazwał je boskimi. Z tej poetyckiej plejady najwyżej wzbił się Ivan Gundulić, którego nazwisko i w Polsce znane. W epopei „Osmanida“ [1]) wielbił on królewicza Władysława, Karola Chodkiewicza i innych wojowników polskich, którzy z początkiem XVII. w. staczali zwycięskie boje z Turkami; chciał on uciemiężonym przez nich współbraciom stawić wzór przed oczy i wlać otuchę, że i turecka potęga nie jest nie do przełamania. Na jednym z placów Dubrownika wznosi się skromny, ale pełen wdzięku pomnik tego poety, w muzeum miejskiem wielką gablotkę zapełniają srebrne wieńce, złożone u stóp jego w dzień jubileuszu; jest tam jeden od Towarzystwa dziennikarzy polskich.

Kiedy uwożący nas parowiec odbijał na pełne morze, długo jeszcze staliśmy na pokładzie, wpatrzeni w to miasto, ską-

---

[1]) Zob. o tem artykuł Henryka Glücka w zeszycie z stycznia 1906.

pane w blaskach zachodzącego słońca i powoli w mglistej niknące pomroce. Żegnaj, Dubrowniku, żegnaj ty kraino kwiecia i zieleni, woni i blasków, słońca i pogody, żegnaj gór wyniosłych i błękitnego morza córo, sztuk pięknych piastunko i poetów kolebko; jedynem naszem w tej chwili pragnieniem jest — zobaczyć cię jeszcze!

IV.

Ku domowi.

Morze prawie wszyscy po raz pierwszy widzieli; po raz pierwszy widziane budzi ono u każdego entuzyazm, cóż dopiero u młodzieńca, którego życie uśmiechem wita. Całe godziny spędzaliśmy w Dubrowniku nad jego brzegami, przejażdżka na łodziach i kąpiel były pierwszą rzeczą, a nikt nie mógł się dość jego widokiem nasycić, prócz tego, który w kąpieli za daleko zaszedł, a nie umiejąc pływać, wody morskiej w smaku i skutkach dobrze pokosztował.

Adria uchodzi za jedno z najpiękniejszych mórz, a nazwa jego błękit oznacza, bo (tylko wielkie oceany mają kolor zielonkowy) Adryatyk jest wszędzie ciemno błękitny; zielony kolor w srebrzystem obramowaniu przybiera tylko na tyłach okrętu pas wody od śrub okrętowych wzburzony; efekty kolorów są zależne od promieni słonecznych, a przybierają odcienie wprost bajeczne.

Na przebycie drogi z Dubrownika do Tryestu potrzebuje pospieszny parowiec całej doby, a przecież ani na chwilę jazda nie staje się nużącą, żałuje się raczej, że zbyt prędko mija. Lądu stałego nie traci się zupełnie z oczu, rzadko tylko, gdy wysp łańcuch się przerwie, ukazuje się pełne morze, stąd jazda raczej do podróży po wielkiem jeziorze podobna. Wybrzeża skalistej Dalmacyi wprost w morze z wysoka spadają, a góry wody z zaciętością o góry kamienia biją i choć z tej wiecznej walki pozornie te drugie wychodzą zwycięsko, przecież pierwsze są rzeczywistymi zwycięzcami, a świadczą o tem odłamy skalne, podmyte pieczary i języki wodne w głąb się wdzierające. Dopiero w Istryi brzegi się częściowo zmieniają i miejsce skał dzikich zielone pagórki zajmują, ale Dalmacya to tych pierwszych królestwo, a tylko kiedyniekiedy jawią się zielone oazy miast i miasteczek. Do większych parowiec zawija i przystaje po kilkadziesiąt minut, w mniejszych zbliża się tylko do brzegu, a łodzie pocztowa i pasażerska,

jak piłka falą rzucone, zbliżają się z wysiłkiem do żelaznego potwora, który im ze swego wnętrza ludzi, paczki i worki wyrzuca. Szczególny urok ma to w nocy, kiedy parowiec wysyła długie smugi światła reflektorów i oświetlając wodę i brzegi, sam sobie drogi szuka, a potem wątłym łodziom zbliżenie ku sobie ułatwia; a kiedy większa fala się ruszy, już już się wydaje, że za nią schowana łódź w toń się pogrążyła, lecz ledwieś to pomyślał, znajduje się ona w silnem świetle na grzbiecie nowej fali i znów się pogrąża. Jak w panoramie świetlnej przewijają się przed okiem wyspy, miasta, latarnie morskie, łodzie rybackie, towarowe żaglowce i parostatki w przeciwną zdążające stronę; minęliśmy Curzolę, Split, Lussinpiccolo, Zadar, zawijamy do Poli.

Sławny port tego miasta stanowi długi, zagięty kanał morski, daleko w ląd się wrzynający; nim ukaże się miasto, amfiteatralnie nad zatoką rozłożone, oglądasz z pokładu inne, ciekawsze i nie widziane dotąd, pływające miasto kolosów wojennych. Wstępu do portu broni rozłożony na wzgórzach wieniec silnych fortyfikacyi, których działa-olbrzymy groźbę śmierci na milę w koło sieją i czujnie baczą, by się gość jaki niepożądany nie wślizgnął, a w porcie w długą linię nad brzegiem ustawieni, w przyzwoitej od siebie odległości pancerni władcy morza stoją: jeden, całkiem bez ruchu i życia, bezwładną masą spokojną wodę gniecie, drugi czarnym dymem zieje, trzeci spiżem dział połyska, na innych znów wre ruch i życie, widocznie odbywają się zwykłe ćwiczenia; mrowie ludzkie biega i krzęta się po pokładzie, kilka z tych mrówek działo gdzieś kieruje, kilkadziesiąt pnie się po sznurowych linach na maszty, setki wskakują do małych łodzi, chłoszczą wiosłami wody powierzchnię i z gorączkowym pospiechem to boki okrętu okrążają, to ku lądowi dążą. Parowiec nasz aż pochylił się nieco, bo wszyscy na jednę stronę się zbiegli i na to widowisko patrzą, patrzą i na pływające doki, pudła olbrzymie prostokątne bez ścian krótszych, na których pękate torpedowce w powietrzu wiszą, a w ich zzieleniałe, przez wodę zgryzione brzuchy, robotnicy z rusztowań jak dzięcioły młotkami kują. Port osobowy i towarowy brudny, hałaśliwy, nie zwraca na siebie uwagi podróżnego; nie zwraca jej i miasto; jest coś innego, co ją całą pochłania, a czego nikt się nie spodziewał. Panowanie rzymskie pozostawiło tu po sobie pamiątkę, która wieków dziesiątki przetrwała i zawsze jeszcze do podziwu zmusza: oto tuż nad przystanią wznoszą się ruiny amfiteatru rzymskiego, budowli, na jakie

tylko Rzymianie zdobywać się mogli, a choć od Colosseum w Rzymie znacznie mniejszej, to przecież ogromem zdumiewającej. Z powodu jednogodzinnego postoju można ruinie przyjrzeć się dokładnie; byliśmy tam pierwsi, odeszli ostatni.

Ci z naszych, co się morskiej choroby obawiali, niepotrzebnie postowi się poddali; za poważny był nasz wielki statek, by dać sobą zwyczajnym falom kołysać, sunął poważnie i śmiało, od pracy śrub wirujących doznając tylko lekkiego wstrząśnienia. Elegancko urządzony, własność austryackiego Lloydu, który szkolnym podróżnym z całą gotowością ceny jazdy obniżył, z jednego tylko nie mógł nam się podobać powodu, a to że nazywał się „Prinz Hohenlohe“. Przypomniawszy sobie kołysankę z jazdy parowczykiem do źródeł Ombli, pragnęli romantyczniejsi wielkiej burzy, satyryczni zaś twierdzili, że stąd tylko to pragnienie pochodzi, iż się na nią wcale nie zanosi. Gdybyśmy byli jechali kilka dni później, byłoby się zadość stało temu „pobożnemu“ życzeniu, bo podczas pamiętnej burzy tryesteńskiej nasz „Prinz“ w dobrych był opałach i poważnie został uszkodzony. Tymczasem tylko „minderwärtige Nation“ inną wyrządziła mu przykrość, dając odczuć jego pokładowi werwę polskiego mazura. Kiedy mrok wieczorny zabronił naszym źrenicom pracy na odległość, zebrała się jakoś nasza gromadka w jednym kąciku i po dawnemu zabrzmiały piosenki. Ale i to nie dało ujścia energii nagromadzonej; w pociągu miejsca mało, można sobie było tylko pozwolić na mocowanie na rękę lub skok w wyż, ale tu pokład jak sala balowa — w mig więc moi młodzi uprzątnęli z jego połowy stołki i leżaki i zaczęli tańce. Nasz „Malczyk“, mistrz na mandolinie, był w dobrym humorze z tego powodu, że mu się w Dubrowniku udało nie utonąć i grał, aż struny pękały; wtórowała mu gitara i głosy nieumiejących kunsztu tanecznego. Szedł mazur, oberek, walczyki, poleczki, a dziarsko i zgrabnie hasali; nasz zaś przedstawiciel ruskiej narodowości, którego trudne do wymówienia nazwisko obcy stale w tej podróży na Schnellzug przekręcali, zaaranżował kołomyjkę z hołubcami i prysiudami. Miła wesołość udzieliła się wszystkim, wszyscy też oprócz sternika i maszynisty wesołą gromadkę otoczyli, z biernych widzów przechodzili do czynnego udziału najpierw przez oklaski, zwłaszcza przy mazurach, a przy wiedeńskich popularnych walczykach wtórował już cały okręt. Jakaś młoda Niemka (której mąż nie mógł się już tą zaletą pochlubić, a którą w naszej wędrówce od Ilidże aż do Bledzkiego

jeziora codzień po kilkakroć spotykaliśmy i od zielonych piór na kapeluszu „generałem“ nazwali) rozochocona, pierwsza nawiązała rozmowę i przy walczyku „Hupf mein Mäderl!“ już już zamierzała z oddziału pierwszej klasy przez baryerę przeskoczyć i puścić się w tany, gdyby jej poważny mąż od tego „nietaktownego“ skoku i kroku nie był powstrzymał. Gdy późna pora rozprószyła widzów, a zmęczenie tancerzy, powstała propozycya, by noc na pokładzie przepędzić, ale tu powstało rozdwojenie i projektodawcy znaleźli się zrazu w miejszości; ale wielu z opozycyi po sekretnej rozmowie z własną kieszenią przyszło też do przekonania, że „szkoda spać na morzu i tracić wiele pięknych wrażeń“ i z obozu mniejszości zrobili obóz znacznie przeważającej większości.

*
* *

Zmalał nam nasz „Hohenlohe“, gdyśmy w tryesteńskim porcie olbrzymi amerykański statek pasażerski szczegółowo zwiedzili, statek, który już do okazów miast pływających należy. Nie ciekawym byłby zapewne opis tego okrętu, bo któż takich opisów po wiele razy nie czytał! — ciekawszem będzie wspomnieć wrażenie, jakie na zwiedzającym wywiera. I jakież ono? Przykre nader przez kontrast między zbytkownem urządzeniem z jednej, a zbyt ubogiem z drugiej strony. W pierwszej klasie komfort, fortepian, kwiaty, fumoir, pluszowe kanapy, przestrzeń i światło — w trzeciej ciasnota, prycze, ciemność, zaduch. I nie dziw, że tu potrzebny szpitął tak obszerny! Jakże żywo stają w pamięci sceny z emigranckiego poematu K o n o p n i c k i e j, zwłaszcza, gdy się w zaułkach okrętu niezgrabne podpisy naszych chłopów spostrzeże! Ileż tu scen podobnych z twardej chłopskiej doli rozegrać się musiało!

Całe pół dnia, jakie nam w Tryeście spędzić przypadło, poświęciliśmy nowemu portowi handlowemu. Co dla zawodowców przedstawiało najżywszy interes, co zajęło młodych, gdy widzieli z blizka rzeczy, z któremi w nauce co krok się z teoretycznej strony spotykali, a więc urządzenia i manipulacye biurowe, a więc te olbrzymie składownie najrozmaitszych towarów i produktów ze wszystkich zakątków kuli ziemskiej, te z przepastnemi czeluściami parowe i żaglowe statki, to wyładowywanie i przeładowywanie olbrzymich ilości towarów przy pomocy elektrycznych kranów — to dla czytelnika nie byłoby zapewne zajmującem; co

zaś więcej mogłoby zajmować, jak budowa okrętów w „Stabilimento tecnico“, zwłaszcza nowych kolosów wojennych, nie było nam dane dokładnie zobaczyć. Dla spóźnionej pory z trudem uzyskaliśmy pozwolenie na oglądnięcie tych pożerców milionów i to z daleka.

Nad jeziorem Bledzkiem (Bled w Krainie, Veldes) deszcz lał jak z cebra, a z powodu niedobrego humoru referenta kolei alpejskiej musieliśmy tu pociąg pospieszny na osobowy zamienić; właściwie przypadało to w Jesenicach (Assling) uczynić, lecz kto zna kolej przez Karawanki, wie, że warto się tu zatrzymać na słowieńskiej ziemi, pod Triglavem, nad rozgałęzieniami modrego jeziora, z wysepką i kościółkiem czerwonym w pośrodku. „Bležsko jezero“ urocze to i typowo alpejskie letnisko, a w naszej podróży ostatni miły postój, bo Celowiec, znów z przymusu zwiedzany, nudę nam tylko i niesmak zostawił. Odbywał się tu właśnie pogrom Słowiańszczyzny; z Gradca i z innych miast zjechało się kilkuset studentów niemieckich: pochody, flagi ze wszystkich dziur w murach, mowy, święto niemieckie! Język słowiański musiał się chronić w bezpieczne ukrycie, bo na ulicach groziło mu obicie kulturalnemi laskami. Ostrzegali nas Słowieńcy przed tem niebezpieczeństwem, które jednak zażegnała właśnie odbywająca się w magistracie „Krüglowa“ uczta; ale spotkaliśmy i Niemców, którzy tę „uroczystość“ nazwali hecą, urządzoną przez garstkę bogatych wyzyskiwaczy przeciw wyzyskiwanym i spokojnym Słowianom. Nudne to i filisterskie miasto, z któregośmy co prędzej uciekali, aby wpaść z deszczu pod rynnę.

Oto w wagonie dostaliśmy się w towarzystwo wracających z „narodowej uroczystości“ nie studentów, lecz jakiejś innej kategoryi uczestników. Odór piwny, czerwone twarze, zielone pończochy, gołe kolana, peleryny, kitki ze szczeciny na kapeluszach i strój ludowy kobiecy — (ni miejski, ni wiejski, coś w rodzaju ubrania naszych starych panien-dewotek z małego miasteczka, z tą różnicą, że na głowie chusteczka, a na niej dopiero „kapelusz“ miejski przedpotopowej mody), to było, cośmy na wstępie mogli zauważyć. I dość im było posłyszeć dźwięki mowy słowiańskiej, choć zapewne nie wiedzieli jakiej, aby obudzić w sobie wojennego ducha; zaczęły się przycinki, przedrzeźniania, wreszcie wybuchła pieśń „Die Wacht am Rhein!“ Moja gromadka wysłuchała jej ze spokojem i potem swoją piosenkę wywiodła, lecz przy nadspodziewanym akompaniamencie gwizdania, wrzasków

i tupania. Trzeba było dużego wysiłku, aby wzburzoną krew młodych utrzymać na wodzy, dopóki nie udało przesiąść się do innego wozu. Niemcy zwyciężyli!...

A kiedy niemiłe wrażenie przeszło, zaczęły się snuć wspomnienia tego, co było i przeszłością zaczęło się stawać. A choć deszcz i szaruga Alpy nam zasłoniły i w przelotnej wędrówce po Wiedniu przeszkadzały i do samych progów domu odprowadziły, w umysłach naszych panowała pogoda, jak tam na południu. Nikt nie wspominał o przebytych niewygodach, o nieprzespanych nocach, o zmęczeniu, a każdy mówił tylko o tem, co widział pięknego, użytecznego i pouczającego w tej podróży bez wątpienia w Europie do najpiękniejszych należącej [1]).

I kiedy przebywasz w tej atmosferze radości, wesołości i szczerego zapału, zdaje się, że ci dwudziestka wróciła i znów widzisz, że tylko młodość jest największym skarbem człowieka i że tylko ona daje promienne szczęście; a kiedy rzeczywistość wspomnisz, żal cię ogarnia, że z tego skarbu dużo ubyło i że twa młodość, jak ten krajobraz nadmorski, zaczyna „w mglistej niknąć pomroce“.

Kazimierz Sosnowski.

---

[1]) Więcej jeszcze niezwykle pięknych rzeczy przedstawia ta sama podróż, skierowana z Budapesztu na Zagrzeb, Banialukę, stąd pocztowym dyliżansem na Jajce i Trawnik do Sarajewa.

Książki polecenia godne są następujące:

X. M. Czermiński: Z podróży po Bośni i Hercegowinie. Kraków 1899.

St. Bełza: Nad brzegami Bosny i Narenty. Warszawa 1899.

„ Pod niebem Dalmacyi. Warszawa 1901.

Jan Magiera: Na jugu słowiańskim. Kraków 1911.

Hr. Stadnicki Adam: Na obu półkulach. Kraków 1912.

Dr C. A. Neufeld-München: Illustrierter Führer durch Bosnien und die Hercegovina. Mit 31 Abbildungen und 1 Karte. Hartlebens Verlag. Wien 1903.

„ Führer durch Dalmatien.

Przegląd prasy słowiańskiej.

W prasie **rosyjskiej** gorzka autokrytyka zmaga się wciąż napróżno z biurokracyą i nacyonalizmem »zoologicznym«:

Russkoje Słowo przytoczyło ciekawe wyjątki z »Nauki głównych zasad wiary prawosławnej« popa Ogickiego. »Naukę« tę rekomendują miejscowe władze dyecezalne jako »szczerze pasterski i pedagogiczny« wykład, który powinien zastąpić katechizm metropolity Filareta. Wystarczy przeczytać kilka wyjątków z tej »Nauki«, aby powziąć należyte pojęcie o metodzie, do jakiej ucieka się Ogickij, protegowany przez władze dyecezalne.

— P. Dlaczego wiara prawosławna jest lepsza od katolickiej?

— O. Dlatego, że u prawosławnych głową cerkwi jest sam Chrystus, Syn Boży, a u katolików grzeszny człowiek, papież. Dalej prawosławni wyznają naukę samego Chrystusa, a katolicy biorą wymysły papieża za naukę Chrystusa.

— P. Czy dobrze postąpili katolicy, że zastąpili sobie Chrystusa przez papieża?

— O. Postąpili bardzo niedobrze. Osłabli w miłości do Chrystusa, stali się odstępcami, niegodnymi miłości Chrystusowej, niegodnymi królestwa niebieskiego.

— P. Jak Bóg ukarał Żydów i Polaków za ich bezprawia?

— O. Żydów za sprzeciwianie się Chrystusowi Bóg rozproszył po całym świecie, a Polakom odebrał królestwo i oddał je cesarzowi rosyjskiemu, tak, iż Polacy nie mają teraz swego polskiego królestwa; z woli Boga muszą oni słuchać obecnie postawionego nad nimi przez Boga — prawosławnego cesarza rosyjskiego.

W N-rze 185. *Siewiero-Zapadnej Żiźni* spotkaliśmy pod wiele mówiącym nagłówkiem »Uwadze nauczycieli kosmopolitów«, wielce znamienny artykuł niejakiego p. Gieleży.

Opisuje on w najczarniejszych barwach los Rosyanina, który w charakterze nauczyciela ludowego przybywa do Królestwa.

»Jako nieumiejący się rozmówić po polsku, od pierwszego dnia przybycia do zapadłej wioski polskiej skazany jest na głód. Przemówiłeś po rosyjsku i od ciebie uciekają, jak od zapowietrzonego! Prosisz o sprzedaż kawałka chleba i odpowiadają ci kategorycznie oświadczeniem: jest, ale nie sprzedam. Wal, nieszczęsny pedagogu, o 10—15 wiorst do najbliższego miasteczka po pierwsze potrzeby, bo inaczej zdechniesz z głodu. Ale życie nie czeka. Dwa lata przebiedował nauczyciel na 200 rublach pensyi, nauczył się od biedy rozmówić po polsku i po przeżytych udręczeniach uświadomił sobie, że w jego nauczaniu niema żadnego sensu, gdyż zimą zbierało się 8—10 osób i na tych ksiądz spoglądał niechętnie. Nuda zabójcza. Życie, jak na wyspie bezludnej. Rzucał się tu i owdzie, wreszcie na wszystko machnął ręką. W celu sprawdzenia świętości kościołów przybył tam raz wysłaniec biskupa. Powodowany ciekawością wysłuchania mszy i kazno-

dzieji, poszedł też nauczyciel, czego potem gorzko żałował. Po tym fakcie w przeciągu przeszło 2-ch tygodni nie nocował w szkole, gdyż ludność niedwuznacznie mu oświadczyła, żeby się wynosił, w przeciwnym bowiem razie może się to skończyć bardzo smutno«.

Obrazek może przejaskrawiony, ale godnym uwagi jest sam »nieszczęsny pedagog«. Na nauczyciela ludowego do Królestwa, któremu nawet p. Sołoniewicz teoretycznie przyznaje prawo do rozwoju narodowo-kulturalnego, p. Gieleża jedzie, nie umiejąc po polsku, jedzie, dlatego oczywiście, że znajomości języka polskiego wymaga się w Królestwie jedynie od inowierców, nie zaś od nauczycieli, lub sędziów. Pobyt jego korzyści nikomu nie przynosi, ma bowiem zaledwie 8—10 uczniów w porze zimowej, ludność go nienawidzi i nareszcie daje mu do zrozumienia, by się wyniósł. Sądzicie zapewne, że p. Gieleża doszedł po tem wszystkiem do przekonania, iż rola »pedagoga« w Królestwie jest dla niego nieodpowiednią i ostrzega kolegów przed popełnieniem podobnego błędu?

Ależ bynajmniej! Dla prawdziwego biurokraty niema przecież wątpliwości, że ludność powinna się przystosowywać do urzędnika, nie zaś odwrotnie. Tem bardziej, jeśli chodzi o ludność w kraju podbitym. A jeśli jest »oporną«, to i na to środek się znajdzie; p. Gieleża kończy swój artykuł wykrzyknikiem:

»Stanowczo trzeba podbić Królestwo Polskie po raz drugi!«

W *Warszawskiej Mysli* ukazała się krótka notatka, zapowiadająca wyjście zbioru postanowień obowiązujących warszawskiego generał-gubernatora. Zapowiedź ta daje petersburskiej gazecie *Dień* asumpt do uwag następujących:

»Równolegle z szesnastoma tomami zbioru praw rosyjskiego Imperyum istnieje w Rosyi nie mniejszy rozmiarami Zbiór praw wydanych przez gubernatorów rosyjskich. Nie mówiąc już o wzmocnionej ochronie, gubernatorowie i w zwykłym stanie rzeczy posiadają prawo wydawania postanowień obowiązujących i z prawa tego korzystają w szerokim zakresie i nadzwyczaj skwapliwie, stwarzając w ten sposób jakby drugi kodeks... gubernatorski. Jedną z najbardziej typowych próbek tego ustawodawstwa są wydawnictwa warszawskiego generał-gubernatora. To, o którem donosi *Warszawskaja Mysl*, będzie dalszym ciągiem »kodeksu«, jaki wyszedł w r. 1911. W »kodeksie« tym były nadzwyczaj systematycznie zaregestrowane wszelkie postanowienia obowiązujące generała Skałona. Co za kolekcya płodów administracyjnego prawodawstwa!

»Niema ani jednej dziedziny działalności obywatela Królestwa Polskiego, w którąby nie wdarł się promień generał-gubernatorskiej inicyatywy prawodawczej. Z rozczuleniem wprost spoglądamy na bezmiar troski o to, by ów za dziecko widać uważany zawsze obywatel nie pośliznął się, nie błądził, nie urządzał zgromadzeń, nie roztaczał wpływów i na odwrót żadnym wpływom nie ulegał«.

Te dwa kodeksy: ogólnopaństwowy i gubernatorski — pisze w dalszym ciągu *Dień* — nie zawsze zgadzają się ze sobą. Różnice pomiędzy nimi bywają dość silne. W tych razach przewagę zawsze mają nie

prawa, lecz »postanowienia obowiązujące«. Nie darmo jakiś gubernator oświadczył: »cóż bo skaczecie mi do oczu z ustawami... Ponad ustawę obyczaj i tradycya oddawna postawiły poglądy »subjektywne« przeróżnych przedstawicieli władzy«. I tak trwa dalej.

Nacyonalistyczny *Dym Otieczestwa* w artykule wstępnym p. t.: »Guczkow i Bałaszew« śpiewa requiem nad umierającym nacyonalizmem, wynosząc pod niebiosa jednocześnie Guczkowa. Odsłonięcie pomnika Stołypina — było to zdaniem *Dymu* tryzną pogrzebową nacyonalizmu:

»Żywotne soki nacyonalizmu wyczerpały się. Nie posiada on siły widomej, nie posiada godnych przedstawicieli... Przy pomniku Stołypina spotkały się dwie wielkie siły polityczne Rosyi: jedna martwa i martwiejąca — nacyonaliści, druga żywa i ożywcza — październikowcy. I rozeszły się na zawsze«...

Naszem zdaniem możnaby co najwyżej powiedzieć, że ani jeden ani drugi prąd nie ma siły żywotnej własnej; lecz nacyonalistycznemu niesposób odmawiać siły brutalnej, choćby »od góry« pożyczanej.

Dokonało się tedy urządzenie oderwanej od Królestwa gubernii chełmskiej. *Moskowskija Wiedomosti* uważają gubernatora chełmskiego, p. Wołżina za wielkiego człowieka:

»Samo wyodrębnienie Chełmszczyzny znacznie ułatwia walkę z wpływem polsko-katolickim, lecz powodzenie tej walki zależeć będzie od tego, czy umiejętnie będzie dobrana administracya miejscowa«.

P. Wołżin odpowiada wszelkim wymaganiom *Moskowskich Wiedomostiej:* »P. Wołżin w 1904. — 1906. latach z powodzeniem odpierał zakusy rewolucyjno-polonizacyjne i oczywiście nabrał doświadczenia w walce z wojującym katolicyzmem i polonizacyą«.

Birżewyja Wiedomosti, omawiając plan przyszłej sesyi Rady Państwa, dochodzą do wniosku, że praca prawodawcza w dalszym ciągu pozostanie »zakorkowana«. W »butelce prawodawczej« Izby wyższej pozostanie i — projekt samorządu miejskiego w Królestwie Polskiem: »Jak wiadomo bowiem, Duma nie zgodziła się z poprawkami Rady państwa, rugującemi język polski i o prawie administracyi do kontroli nad celowością decyzyi Rad miejskich. Prawicowcy i grupa Neuhardta, stanowiący obecnie większość w Radzie państwa, tym razem na żadne ustępstwa się nie zgodzą«... Ten sam los czeka i inne ważniejsze projekty, a w rezultacie: »machina Rady państwa będzie kruszyć stary makaron prawodawczy«.

Dień ogłosił wyjątki z nieznanych listów do p. Fiłosofowa, dotyczących powstania 1830. roku. Z listów tych dwa charakteryzują entuzyazm armii petersburskiej, gdy cesarz Mikołaj I. zapowiedział, iż być może, dla uśmierzenia powstania, trzeba będzie ją wysłać do Królestwa Polskiego, jeden zaś — stosunek do Rosyan zagranicą po zdławieniu powstania.

W jednym z owych listów czyta się:

»Mówią, iż w obcych krajach są na nas strasznie źli — i nawet Anglicy nazywają nas barbarzyńcami i podobno tak znienawidzili

Rosyan, iż jeżeli kto z naszych zachoruje w Anglii, żaden doktór nie pójdzie do niego; dowodzi to zresztą, iż boją się oni nas«...

Już po zamknięciu tej rubryki spotkaliśmy się z nowym głosem profesora Pogodina, który pospieszamy jeszcze tu zanotować:

Nacyonalizm rosyjski uważa za konieczność dziejową i za obowiązek narodowy Rosyi odebrać Austryi wschodnią, ruską Galicyę. Następstwem tego poczucia i tego przekonania jest parcie do gnębienia Polaków. Może to nie bardzo mądre i nie bardzo logiczne, ale tak jest. Hr. Bobrinskij mawiał, że »Galicka Ruś« to jego kochanka, a Polacy kochankę tę mu porwali i męczą. Jakże więc nie czuć nienawiści do krzywdziciela? Za porwaną Ruś Czerwoną trzeba karać i tępić Polaków.

Otóż szanowny profesor Pogodin przypomina nacyonalistom rosyjskim, iż to nie Polacy porwali, ale Rosya sama dobrowolnie oddała »Ruś podkarpacką« Austryi w zamian za przysługi i ustępstwa, wyświadczone Rosyi przez Austryę. Celem artykułu profesora jest powiedzenie nacyonalistom tej prostej prawdy, iż załatwienie sprawy polskiej byłoby czynem o wiele donioślejszym, niż ciągłe majaczenia o »Rusi halickiej«, która drży z obawy na myśl o przejściu do Rosyi.

Rusini złorzeczą bezustanku Polakom za ucisk, ale to przecie widzą i rozumieją, iż mają pod »rządem polskim« wszelkie warunki narodowego rozwoju.

W artykule p. Pogodina »O tem, coby mogło być...« Nr. 18.789. *Birżewych Wiedomosti* znajdujemy zdanie, wzięte z jakiegoś pisma austryacko-niemieckiego, które tłómaczy, co to znaczy »załatwienie sprawy polskiej«. »Interesy państwa nie powinny być sprzeczne z interesami i potrzebami narodu«. Tak postawiono rzecz w Austryi i osiągnięto skutek pożądany.

Prasa **czeska** miała do roztrząsania dwa zjazdy powierników (»mężów zaufania« = Vertrauensmänner«) dwóch stronnictw czeskich.

Dnia 27. i 28. września odbyło się w Pradze takie zebranie stronnictwa postępowego (české strany pokrokové), vulgo: realistów. Biadano nad upadkiem czeskiego życia publicznego i uchwalono pracować nad jego odrodzeniem — a zarazem zbliżono się do radykałów z pod komendy Choca, czyniących niemożliwem jakiekolwiek wogóle systematyczne działanie polityczne w Czechach. Wodą na młyn radykalny był ustęp rezolucyi, głoszący, że stronnictwo postępowe pragnie wprawdzie pokoju obojga narodów w kraju i że gotowe popierać dążenia w tym kierunku, ale... nie ma zgoła zaufania do rokowań ugodowych pod egidą rządu Stürgkha. W mowie programowej wyraził prof. Masaryk (słynny książę czeskich doktrynerów) mniemanie, że zanimby przystąpiono do konferencyj ugodowych, należy coś zrobić, żeby usunąć absolutyzm a przywrócić aktywność sejmu, który powinien być jeszcze raz zwołany na podstawie dotychczasowej ordynacyi wyborczej.

Zjazd ten bardzo krótko tylko zajmował opinię publiczną;

znacznie więcej obudził zajęcia takiż zjazd młodoczeski z 12. października, którego rezolucyę, przyjętą jednomyślnie, przytaczamy dosłownie:

»Zgromadzenie powierników narodowego stronnictwa wolnomyślnego (tak się oficyalnie zowią młodoczesi), odbyte dnia 12. października 1913., rozważywszy środki, jakimi możnaby usunąć antykonstytucyjną administracyę krajową w Czechach, a zaprowadzić stosunki lepsze i zdrowsze, uchwaliło jednomyślnie następujące oświadczenie:

1) Wzywa się Český Klub (młodoczeski) w Radzie państwa, ażeby w sposób, jaki sam uzna za najlepszy, wyraził rozgoryczenie narodu czeskiego z powodu, że rząd, biorąc wzgląd na nieusprawiedliwioną i nie dającą się żadną pozytywną krzywdą tłómaczyć obstrukcyę niemiecką, udzielił pomocy krajowi w przesileniu finansowem tylko za cenę naruszenia konstytucyi krajowej.

2) Narodowe stronnictwo wolnomyślne było zawsze gotowem wziąć udział we wszelkich poważnych układach tak z niemieckimi współobywatelami, jakoteż z rządem, o zaprowadzenie pokoju wewnętrznego w Królestwie Czeskiem, a potrzebę podobnych układów uznaje obecnie tem bardziej, ponieważ upatruje w nich najlepszą sposobność doprowadzenia do usunięcia nienormalnych stosunków w Królestwie Czeskiem i zaprowadzenia na nowo porządków ustawowych. Ale należy przy tem ponownie powtórzyć, że narodowe stronnictwo wolnomyślne nie zgodzi się na żadną umowę, mocą której naruszoną byłaby w jakikolwiek sposób jedność i niepodzielność Królestwa w zakresie ustawodawczym i administracyjnym, a nie byłoby poręczone bezwzględne równouprawnienie obydwóch języków krajowych i nieograniczona możność używania ich w całym kraju przy wszystkich urzędach państwowych. Narodowe stronnictwo wolnomyślne powtarza postanowienie swe, wyrażane już tylekroć, że nie wzięłoby udziału w żadnych układach, z których wyłączoną byłaby sprawa o używanie języków przy urzędach państwowych, tudzież reforma ordynacyi wyborczej do sejmu Królestwa Czeskiego; upatruje bowiem rękojmię lepszej przyszłości Królestwa jedynie w doprowadzeniu do porządku sprawy językowej w sposób dla obydwóch narodów możliwy do przyjęcia, tudzież w uczestnictwie w ustawodawstwie krajowem szerokich warstw ludowych, dotychczas wydziedziczonych pod względem politycznym. Pomimo tej szczerej, zawsze i wszędzie wypróbowanej gotowości do uczciwego pokoju, pomimo całej tęsknoty za ugodą narodową we wszystkich poważnych kupieckich i produkujących warstwach narodu, doświadczonych tak ciężko niniejszem przesileniem ekonomicznem i domagających się umożliwienia wspólnej pracy gospodarczej obydwóch narodów — jest to jednomyślnem przekonaniem stronnictwa, że nie godzi się narodowi czeskiemu okupywać pokoju z Niemcami żadnemi ustępstwami od fundamentalnych zasad swego programu narodowego i politycznego — i że nie dające się utrzymać stosunki w kraju i w państwie doprowadzą w końcu i Niemców do

uznania, że najlepszą drogą do osiągnięcia warunków pokojowego współżycia obydwóch narodów jest wzajemna ugoda.

3) Ażeby dać pomoc finansom krajowym przynajmniej o tyle, żeby można było uczynić zadość uprawnionym nawoływaniom rozpaczającego już wprost stanu nauczycielskiego, i żeby można było nareszcie spełnić uprawnione wymagania urzędników i funkcyonaryuszów państwowych co do pragmatyki służbowej — wzywa się Český Klub w Radzie państwa, żeby starał się usilnie o jak najrychlejsze załatwienie małego planu finansowego.

4) Poza tem zresztą niechaj Český Klub ułoży swój stosunek do rządu i do jego wymagań stosownie do zachowania się rządu wobec postulatów narodu czeskiego, a zwłaszcza stosownie do jego zachowania się w akcyi ugodowej. Narodowe stronnictwo wolnomyślne oczekuje od rządu, że nie przekroczy w niczem miary niezbędnej, bezwzględnej objektywności względem obydwóch narodów i że będzie się zapatrywal na tę akcyę, jako na jedyny środek sprowadzenia stosunków ustawowych w Królestwie Czeskiem. Gdyby więc rząd chciał używać układów o pokój wewnętrzny w Czechach tylko jako środka, który miałby ułatwić załatwienie różnych potrzeb państwowych w Radzie państwa, natenczas zgromadzenie powierników stronnictwa oczekuje od swych posłów, że dadzą takim zakusom odpór z największą stanowczością.

5) Narodowe stronnictwo wolnomyślne głosiło zawsze potrzebę jednolitego postępowania posłów czeskich w Wiedniu i poniosło ciężkie ofiary dla tej myśli podczas ostatnich wyborów do Rady państwa. Pomimo grubych zawodów, sprawionych rozbiciem się »Jednotneho Klubu Czeskiego«, stronnictwo jest jak przedtem, tak i teraz rzetelnie gotowe połączyć się z innemi stronnictwami czeskiemi w organizacyę jednolitą, karną i celową, któraby zapewniała wspólną akcyę stronnictw czeskich w Radzie państwa w każdym wypadku. Powiernicy są głęboko przekonani, że posłowie naszego stronnictwa nie będą współdziałać nigdy w żadnej polityce, która według najlepszego przeświadczenia narodowego stronnictwa wolnomyślnego okazałaby się polityką wyrządzającą ciężkie szkody narodowi i jego przyszłości«.

Oryginalny projekt występującego coraz częściej w polityce historyka austryackiego, dra Friedjunga, ażeby sprawę ugody czesko-niemieckiej poruczyć delegatom mianowanym przez obydwa praskie uniwersytety, zrobił zupełne fiasko. Organ agraryuszów, najliczniejszego czeskiego klubu poselskiego, *Venkov*, dziwi się, jak można z akcyi politycznej wyłączać czynniki najbardziej w sprawach tego rodzaju odpowiedzialne, t. j. posłów; zwraca przy tem uwagę, że uniwersytet niemiecki w Pradze nie zasługuje na zaufanie co do dobrej woli w sprawie ugody, skoro przez tyle lat był kuźnią największej nienawiści przeciwko Czechom. Organ realistów, *Čas*, oświadcza, że nie jest to bynajmniej pożądanem, żeby uniwersytety wciągać jeszcze bardziej w wir walk narodowych. Jeżeli zaś obecni posłowie nie mają być dość

zdatnymi do załatwienia sprawy, można przy najbliższej sposobności wybrać zdatniejszych.

Socyalistyczne *Pravo Lida* twierdzi, że w obecnym składzie poselskim dałoby się ugodę przeprowadzić, byleby szczerzy zwolennicy jej zabrali się szczerze a energicznie do jej przeciwników. Zastrzega się przeciw projektowi, jako zwalniającemu rząd od odpowiedzialności za stan rzeczy, a przesuwającemu ciężar na inne barki i to nieodpowiedzialne w życiu politycznem. Staroczeski *Hlas Naroda* uważa projekt za niepraktyczny i niewykonalny. Przypomina przy tej sposobności, jak już raz przed laty wyszedł od profesorów niemieckiego uniwersytetu w Pradze projekt ułożenia zgodnego kwestyi językowej w Czechach, podany do publicznej wiadomości i dyskusyi przez ś. p. prof. Ulbricha i prof. Pferschego, lecz sami Niemcy projekt ów odrzucili. Narodowo-socyalna *Narodni Politika* twierdzi, że cały projekt Friedjunga jest kopią projektu niegdyś bar. Offermanna, który po r. 1890 polecał był utworzenie sądu rozjemczego do sporów narodowościowych, zwłaszcza językowych, i projektował, żeby sąd taki był oficyalną instytucyą państwową, wyposażoną w urzędową władzę. Co do uniwersytetu niemieckiego w Pradze, żaden Czech nie mógłby mieć zaufania do jego polubowności.

Główny dziennik czeski, młodoczeskie *Narodni Listy* pisały w tej sprawie, co następuje:

»Skoro się już sięga do wspomnień z przeszłości z powodu projektu dra Friedjunga, godzi się dodać do nich wspomnienie z niedawnego czasu. Kiedy dnia 15. listopada 1910 r. w kasynie niemieckiem w Pradze posłowie niemieccy radzili o uchwałach komitetu sejmowego co do języka urzędowego w urzędach autonomicznych, wraz z reprezentantami miast i powiatów niemieckich, tudzież z przedstawicielem uniwersytetu niemieckiego w Pradze, kiedy to dr Eppinger użył był całego swego wpływu, żeby przeprowadzić omówiony już wszechstronnie kompromis — przegrał sprawę; rozstrzygnęła przeciwko niemu większość jednego głosu, a był to głos rektora uniwersytetu niemieckiego. Wtenczas to dr Eppinger wystąpił ze znaną uwagą o czynnikach nieodpowiedzialnych, ustnie zaś żalił się osobiście gorzko przed drem Škardą na rektora uniwersytetu niemieckiego w Pradze. Skoro dr Eppinger nie miał zaufania do takich czynników, jakżeż tedy może ktoś wymagać tego od nas Czechów?« — zapytywały *Narodni Listy*.

Obecnie na porządku dziennym pomysły ugody — oktrojowanej! Mimowoli nasuwają się refleksye z dawniejszych lat:

W dawniejszych dziesiątkach lat, kiedy ruch narodowy w Czechach rozszerzył się tak dalece a rozwój gospodarczy wzmocnił Czechów do tego stopnia, że większość w sejmie zdobyli i zaczęli gospodarzyć na swoją korzyść, stronnictwo Riegera — tak zwani staroczesi — obstawało przy umiarkowanym postępie i przy porozumieniu z Niemcami. Ostrzegało przed gwałtownymi krokami i skokami, przed tak zwanym radykalizmem, twierdząc, że Czesi jeszcze nie są ani dość unarodowieni, ani wszędzie zorganizowani, ani wreszcie dość

silni i niezależni, aby mogli Niemców do muru przycisnąć i zdusić, jak tego żądali tak zwani radykalowie-młodoczesi.

W r. 1890. pomiędzy Niemcami i staroczechami zgodzono się na ustępstwa wzajemne, na tak zwane »punktacye«. Wtedy to młodoczesi zaczęli straszną agitacyę w całym kraju. Sypały się wyzwiska na staroczechów: zdrada, ugodowość, poddanie się Niemcom, tchórzostwo i t. p. Na szubienicy nieomal wieszano staroczechów, jako najhaniebniejszych zdrajców i złodziei narodowego mienia. »Punktacye« nie doszły do skutku. Nastały dziesiątki lat walki i rozterki wśród społeczeństwa czeskiego i w kraju.

Dziś, po 23 latach niesłychanych walk i strat, ta sama partya młodoczeska stara się o ugodę z Niemcami... Zaklinają inne stronnictwa w imię dobra narodowego, aby się zgodzić na ustępstwa wzajemne i umożliwić wspólną z Niemcami pracę w kraju. 23 lat nauki potrzeba im było, zanim doszli do mądrości staroczechów...

Dziś już się widzi, że dawna polityka młodoczesko-radykalna doprowadziła tylko do wielkiego upokorzenia wobec Niemców, którzy dziś są panami sytuacyi znacznie bardziej od Czechów i w Wiedniu mają plecy bądźcobądź tęższe; dla »parady« tylko demagogicznej udają niezadowolonych z powodu składu komisyi administracyjnej.

Dziś młodoczesi stali się z radykałów ugodowcami; niestety, nie brak nowych radykałów i znowu powtarza się ta sama sytuacya. Rządowe projekty »ugody« (mającej być ewentualnie oktrojowaną!) przypominają pod wielu względami historyę »punktacyj« z czasów Taaffego.

Nagromadziło się w czeskiem społeczeństwie sił, które szukają sobie ekspanzyi na zewnątrz. Dosadny wyraz temu stanowi rzeczy dał p. Č. Slepanek w artykule p. t.: Adria a česká politika w Nrze 3. *Přehledu* z dnia 10. października (czasopisma czeskie liczą rok po większej części od października). Autorowi chodzi o »pierwiastki twórcze« w zagranicznej polityce czeskiej, o to, żeby określonem było, »czego właściwie chcemy w ramach dzisiejszej polityki europejskiej«. Dzisiaj przyznaje się już powszechnie, że trzeba politykę czeską nawiązać do pewnych punktów zewnętrznych. Bregalnica rozwiała ułudę, jakoby można było punkt ciężkości »kombinacyj wszechsłowiańskich« przekładać na słowiańskie południe, a teraz zachodzi nagląca potrzeba, żeby do polityki czeskiej »wnieść więcej czeskiego egoizmu na przekór altruizmowi wszechsłowiańskiemu«. Zdaniem p. Slepanka na to wszystko rada pewna gotowa: »Czeska polityka musi nareszcie wypisać na swej tarczy wyraz, który oznacza przyszłość: Adryatyk«. Od r. 1907. kwestya dostępu z wewnątrz Bałkanu do Adryatyku nabrała znaczenia pierwszorzędnej kwestyi europejskiej; ona decyduje także o stosunkach austryacko-serbskich. »Ten problem interesów nie może pozostać dalekim polityce czeskiej. Tu musimy okazać, czy zdołamy być czynnikiem twórczym w austryackiej polityce zewnętrznej, czy mamy w tej dziedzinie swój samodzielny program i jaki. Na tem polu możemy sobie Serbów naprawdę zobowiązać. Ale nie chodzi

o serbskie tylko interesy, lecz również o interesy, i to wielkie, czeskie i wogóle słowiańskie«. Włosi, »popierając Serbię przeciw Austro-Węgrom, popierają mniejsze zło przeciw większemu i przygotowują grunt pod zapasy na Adryatyku, które nie mogą nam Słowianom w monarchii przynieść korzyści. Dziś wybrzeża morza Adryatyckiego w granicach monarchii są przeważnie słowiańskie. Na Pobrzeżu wzrośliśmy w ostatniem dziesięcioleciu, podczas gdy żywioł włoski podupadł w Dalmacyi; sojusz włosko-madiarski w Rjece pobity chorwacko-słowieńskim; chorwacki Split współzawodniczy skutecznie z Rjeką, chociaż nie dostaje mu opieki państwowej. Kolej licka i połączenie ze Sarajewem podniosą tę słowiańską przystań do wybitnego znaczenia handlowo-politycznego. Czeski popęd ekonomiczny skierował już swój wzrok na wybrzeża adryatyckie, ani więc polityce czeskiej nie może być obojętnem, jak on się tam rozłoży. Nasze położenie handlowo-geograficzne nie jest bynajmniej lepszem, niż serbskie. I nam będzie trzeba tem bardziej wolnego do morza dostępu, czem bardziej dojrzewać będzie nasza polityka wywozowa, chowana na teraz jeszcze w pieluszkach. Ale my musimy ubezpieczać się i na wypadek wszelkich politycznych ewentualności w przyszłości. Problem morza Adryatyckiego nie może być rozwiązany bez nas. Nasz popęd ekonomiczny nad brzegi Adryatyku musi nabrać uświadomionej fizyonomii politycznej. Musimy sobie uświadomić, czego tam chcemy jako Czesi i Słowianie«.

»Kwestya jugosłowiańska wchodzi już od dawna w ramy, które nas wykluczają i zagrażają nam«. Niemcy pilnują drogi do Tryestu i zdają sobie sprawę, że tu chodzi o to, do kogo ma należeć Adryatyk, a Czesi mają tam interesy nie mniejsze bynajmniej, bo »my z tą kwestyą związani jesteśmy interesami całego bytu naszego«. Ale też Czesi nie mieli jeszcze równie wspaniałej sposobności do okazania swych zdolności organizacyjnych. Baczność, bo »możemy skupić obecnie w swem ręku wiele, co może nam przydać i w monarchii sił i znaczenia«.

„Dziatwie **słowackiej** — sto nowych więzień“. Taki tytuł dał *Slovenský Dennik* artykułowi z roztrząsaniem faktu, że rząd zabiera się zakładać nowe państwowe szkoły ludowe na Węgrzech. Razem powstaje ich z nowym rokiem szkolnym 227; z tego ofiaruje rząd 60 nowych szkół Rumunom, 25 Niemcom, 25 Rusinom, 101 Słowakom, a Madiarom zaledwie 15. W szkole państwowej wolno nauczać tylko i wyłącznie w madiarskim języku; celem tych szkół nie oświata, lecz madiaryzacya. Dlatego w planie szkolnym ministerstwa oświaty kraje etnograficznie madiarskie stoją na ostatnim planie. W madiarskiej „Dolnej Ziemi“ często szkoła od szkoły oddalona o 10—15 kilometrów drogi. Pomiędzy Madiarami siedmiogrodzkimi taka ciemnota i nędza, że emigrują za chlebem do — Rumunii, a jednak rząd nie spieszy tam z zakładaniem szkół. Napróżno też chłopi madiarscy petycyonują o zakładanie zimowych szkół rolniczych. Pierwszeństwo w budżecie ministerstwa oświaty mają nawet Rusini, jeszcze bardziej Rumuni, a najbardziej Słowacy. Państwo przejmuje jak najwięcej szkół ludowych na Słowaczyźnie od autonomicznych organizacyj wyznaniowych (zwłaszcza

protestanckich) i przyjmuje je na koszt państwowy, wyrzucając z nich do reszty wszelkie używanie języka słowackiego. Nie brak wypadków, że dzieci bywały w takiej szkole karane za słówko, powiedziane (poza nauką) po słowacku. Zdarzały się kary, polegające na tem, żeby 500 razy przepisać zdanie: „Nem szabad tótul beszélni“ (nie wolno mówić po słowacku). W gminie Tekowej nauczyciel zbił dzieci, u których podsłuchał rozmowę po słowacku (poza godziną szkolną!).

Czytamy dalej w tymże artykule: „A to wszystko pod rządami tego samego cesarza i króla, który w r. 1861 przyrzekał uroczyście deputacyi słowackiej i ks. biskupowi bystrzyckiemu, Moysesowi, że będzie się opiekował szkolnictwem słowackiem. Jego apostolsko-królewska Mość może wogóle cieszyć się z tych szkół państwowych. Czyż król czytał kiedy te ustępy, z których dzieci słowackie, rumuńskie i niemieckie uczą się w szkołach państwowych węgierskich historyi madiarskiej? A szkoda, że nie czytał. Tam doczytałby się nasz król Jegomość, że jego ród Habsburski od początku zawsze był tylko szkodnikiem dla całych Węgier. Tego uczą naszą słowacką dziatwę w madiarskich szkołach państwowych. Tak to się dzieje: Na Słowaczyźnie bili się nasi dziadowie podczas rewolucyi (1848—9 r.) za cesarski ród Habsburgów. Ojcom przyrzekł potem król szkoły słowackie — a wnuków uczą w szkołach madiarskich, że ród Habsburski jest szkodnikiem kraju węgierskiego. Tak to wszczepia się ludowi wierność względem panującego domu! Doprawdy, nasz król Jegomość może być zadowolony ze swej daleko widzącej polityki! Dla nas nie pozostaje nic innego, jak szukać sobie szkoły, „gdzie ją znajdziemy“, t. j. w Czechach i na Morawach.

Najbardziej ze wszystkich narodów słowiańskich sejmujący **Słowieńcy** (należą aż do siedmiu ciał parlamentarnych!) najwięcej też miewają z tego powodu kłopotów „konstytucyjnych“. Sejmowi kraińskiemu — w którym starano się „dobić“ liberałów — kończyłby się sześcioletni peryod prawodawczy w marcu 1914., ale patent cesarski rozwiązał go po sesyi jesiennej. Stronnictwo rządzące, katolickie, nie okazało najmniejszego niezadowolenia z tego powodu; widocznie tedy Dr Šusteršič sam pragnął przyspieszenia nowych wyborów, które mają się odbyć w tym jeszcze roku. Rozwiązany obecnie sejm wyszedł z dwóch kampanij wyborczych. W lutym i w marcu 1908. r. odbyły się wybory powszechne, podczas których wybrano 11 Niemców i 25 Słowieńców (16 katolickich ludowców, 9 liberałów). Tak złożony sejm uchwalił w czerwcu 1908. nową kuryę, powszechną, z 12 mandatami; równocześnie przyznano drugi mandat miastu Lublanie. Sejm kraiński liczy odtąd 50 krzeseł poselskich (wirylistę tylko jednego: jest nim biskup lublański). Wybory, przeprowadzone w myśl tej reformy pod koniec grudnia 1908., przyniosły katolickim ludowcom 10 dalszych krzeseł, liberałom tylko dwa. Ludowcy mieli tedy w sejmie przewagę 27 : 12. Rządzili, nie potrzebując się nawet liczyć z opozycyą, a ta, bezsilna, mściła się przynajmniej wywoływaniem rozmaitych skandalów, w prasie i w Izbie sejmowej. Lektura *Slovenskega Naroda* nie należała w ostatnich zwłaszcza czasach do budujących; czy jednak praktyczną ze względu

na przyszłość była taktyka *Slovenca*, żeby przeciwnika przygniatać z całych sił i miażdżyć, to jeszcze zobaczymy.

W sejmie styryjskim ludowcy słowieńscy pragnęli ugodzić się z większością niemiecką, lecz projekt ich odrzucono. Obejmował on następujące punkty: Rozdział Rady szkolnej krajowej na dwie sekcye, jednę dla szkolnictwa niemieckiego, drugą dla słowieńskiego i utrakwistycznego; wypłatę wstrzymanych subwencyj na budowę dróg; ustanowienie bezprocentowych pożyczek dla uprawiających winną latorośl; założenie słowieńskich szkół wydziałowych i jednej rolniczej; rozdział krajowej Rady rolniczej na sekcye narodowe. Po odrzuceniu tego słowieńskiego projektu wystąpił namiestnik (hr. Clary) z rządowym, kompromisowym, który obejmuje tylko jednę szkołę wydziałową i jednę dla gospodyń wiejskich, a sprawy pożyczek dla winiarzy i subwencyj na budowę dróg czyni zawisłemi od tego, czy w parlamencie wiedeńskim przejdzie „mały plan finansowy“ — inne zaś punkty projektu słowieńskiego pomija całkowicie.

Sejm gorycki odbył zaledwie cztery posiedzenia, poświęcone sprawom formalnym. Ukonstytuowano się, wybrano komisye, przekazano im rozmaite przedłożenia i wnioski, lecz układy o przywrócenie sejmowi aktywności nie dobiegły pożądanego końca między stronnictwami. Nie mógł sejm przystąpić do prac merytorycznych; przewlekano tedy „czynności wstępne“, aż się doczekano zwołania parlamentu, co posłużyło za przyzwoity motyw odroczenia sejmu.

Po słowieńsko-chorwackim zjeździe katolickim dają się słyszeć rozmaite echa i pogłosy. Dla charakterystyki przytoczymy tylko jeden, mogący nas bliżej zaciekawić:

Na posiedzeniu Wydziału „Slovenske Matice“ d. 9. października podało dziewięciu wydziałowych następujące oświadczenie na piśmie:

„Przy sposobności wielkiej manifestacyi katolickiej Słowiańszczyzny, a mianowicie podczas ostatniego zjazdu katolickiego słowieńsko-chorwackiego, nadeszła do prezydyum Slovenske Matice prośba, podpisana przez jednego z jej wydziałowych, żeby Matica wywiesiła na swym domu chorągiew na cześć przyjezdnych gości. Wyraźnie podniesiono w prośbie, że wywieszanie chorągwi niema żadnego znaczenia politycznego, że takie przyozdabianie domów jest tylko aktem grzeczności, przyjętym przy podobnych sposobnościach po innych miastach; że zrobiło to przy niniejszym zjeździe nawet wielu niesłowieńskich mieszkańców Lublany; a więc Slovenska Matica winnaby okazać tę grzeczność, tem bardziej, skoro jest instytucyą wyłącznie kulturalną, a wielu jej członków i wydziałowych wzięło udział w zjeździe katolickim i przyjęło w nim współpracownictwo.

„Prośba pozostała bez skutku, a przygnębiającem niezmiernie było na licznych członków Matice wrażenie tego postępku, który p. prezes wobec jednego ze swych towarzyszy motywował godnemi ubolewania słowy: jak Slov. Matica jest wprawdzie instytucyą kulturalną, ale zjazd katolicki „niekulturalną robotą“.

„Podpisani wydziałowi Slovenske Matice wyrażają ubole-

wanie z powodu tego niesmacznego postąpienia p. prezesa względem gości słowiańskich, jakoteż względem nader licznych członków i komitetowych Matice, potępiają jak najbardziej stanowczo pożałowania godne motywowanie tego braku taktu i wyrażają p. prezesowi Drowi Fr. Iłešičowi votum nieufności. W Lublanie 9. października 1913. (podpisano): Dr Anton Breznik, Dr Josip Debevc, Dr Fran Detela, Fran Finžgar, Ivan Grafenauer, Dr Josip Gruden, Ivan Sušnik, Dr Fran Zbašnik, Dr Lovro Požar.

W sprawie jedności słowieńsko-chorwackiej mamy do zapisania ciekawy incydent: Biskup tryesteński ks. Dr Karlin jest Słowieńcem. W pierwszej połowie września odbywał wizytacyę kanoniczną w części wschodniej swej dyecezyi, w t. zw. Liburnii i przy tej sposobności odwiedził ordynaryusza sąsiedniej dyecezyi senjskiej, ks. biskupa Rocha Vučića. Podczas obiadu gospodarz, wznosząc toast, życzył swemu gościowi z Tryestu, żeby w pracy swej postępował śladami wielkiego biskupa Dobrili, jednego z pierwszych odrodzicieli austryackiej południowej Słowiańszczyzny, który Chorwatem był a pracował wiele około spraw słowieńskich. Odpowiadając na toast, powiedział ks. biskup Karlin, że dla niego zawsze ideałem było zupełne zjednoczenie Słowieńców z Chorwatami, toteż i teraz pragnie działać w tym kierunku. Działo się to podczas zwykłego, w nielicznem gronie najbliższych niemal domowników cichego obiadu; żadnego oficyalnego „przyjęcia“ nie było, żadnego zebrania, mogącego zakrawać na publiczne lub urzędowe. Rzecz dostała się jednak do wiadomości publicznej, a tygodnik włoski *Unione Nazionale* rozdął ją i zrobił z tego... demonstracyę przeciw włoskim obywatelom Austryi i przeciw królestwu włoskiemu. Sprawa przeszła następnie na młyn wiedeńskiej *Neue freie Presse*, która podjęła systematyczną kampanię przeciw ks. biskupowi tryesteńskiemu, żądając nawet usunięcia go!

Taktyka barona Skerlecza wobec **Chorwatów** zaczyna się bądź-cobądź wyróżniać korzystnie od jednostronnego dotychczas popierania samych tylko prostych kreatur i figurantów rządowych. Nie ograniczając się do samych t. zw. madiaronów, pragnie doprowadzić do kompromisu wyborczego wszystkie stronnictwa, uznające unię z Węgrami, choćby opozycyjne, jak n. p. koalicyę serbo-chorwacką, z łona której mianuje również wysokich urzędników. Jeżeli uda mu się odwrócić w ten sposób »koalicyonaszów« od nieuznających ugody państwowej z 1868. roku »prawaszów« — może istotnie doprowadzić do t. zw. »fuzyi unionistycznej«, mającej przywrócić aktywność sejmowi zagrzebskiemu. Dobrze zrobił hr. Tisza, że poszedł za tą radą. *Agramer Tagblatt* słusznie zwrócił uwagę, że tkwi w tem różnica zasadnicza, boć Khuen i Lukacs poprzestawali zawsze na informacyach jednostronnych i jednostronnie parli w kierunku powziętym z góry. Z fałszywych informacyj wysnuto wniosek, jakoby większość ugodowa była w sejmie zagrzebskim już niemożliwością i w tem geneza komisaryatu. Czyż nie lepiej dla samychże Węgier, że zasadę unii reprezentuje stronnictwo tkwiące korzeniami naprawdę w społeczeństwie (koalicya serbochor-

wacka)? Zresztą, koalicya oświadczyła, że gotową jest do kooperacyi z tymi z unionistów starej daty, którzy otrzymają mandaty poselskie przy czystych wyborach — a więcej wymagać już niesposób.

Konferencye, wszczęte przez hr. Tiszę z politykami chorwackimi co do sposobów usunięcia przesilenia, dostarczyły starczewiciańskiemu *Hrvatovi* do zbliżenia się do organu »koalicyonaszów«, *Pokretu* (tudzież do serbskiego *Srbobrana*), który kategorycznie odmówił wszelkiego współdziałania czy to z »tomasziciewcami«, czy też z »rauchowcami«. Pisał *Hrvat* z tego powodu: »Stojąc na stanowisku paktu, którego myślą zasadniczą było, żeby z pomocą koalicyi zniszczyć i zetrzeć podczas wyborów unionistów starej daty, a przez to ugodową ich politykę podnieść w interesie narodu na wyższy poziom, witamy z radością te oświadczenia *Pokreta* i *Srbobrana*. Dopóki bowiem starzy unioniści nie będą starci z oblicza ziemi naszego życia publicznego, dopóty niema mowy o postępie chorwackiej polityki narodowej«. *Hrvat* nie wątpi, że gdy stronnictwo t. zw. koalicyi serbochorwackiej okaże się jedynem zdatnem do politycznego życia stronnictwem unionistycznem, sytuacya bądźcobądź poprawi się, bo koalicya będzie za »ugodę« żądać znacznie więcej, niż unioniści starej daty.

Organ braci Radićów, *Dom*, w zrozumiałej dla ludowych czytelników formie podając postulaty narodowe, radzi uczestnikom ewentualnych narad ugodowych oświadczyć w Budzyniu, że »Madiarzy muszą wybić sobie z głowy, jakoby zdołali nas pomadiarczyć, a Chorwacyę zamienić na prowincyę Węgier«. Ale zarazem niema *Dom* przekonania do prawaszów! Uważa za niemożliwe wznowienie dawnego obozu hr. Khuena, ani też wytworzenie jakiegokolwiek stronnictwa rządowego z dzisiejszych stronnictw. Zgoda jest pożądaną jednej i drugiej stronie. Z wojny bałkańskiej niechaj się uczą i Madiarzy i Chorwaci, że nie należy kłócić się z sąsiadami i nie należy dopuścić, żeby pozostać bez przyjaciela do okoła granic. Ale naród chorwacki ma interesy nietylko z koroną ś-go Szczepana, lecz niemniej z Austryą, z Cislitawią; i tu i tam jednako musi się zabezpieczyć. To wszystko trzeba otwarcie powiedzieć hr. Tiszy, a w takim razie może nastąpić ugoda, z której wyniknie najpierw dobre sąsiedztwo, następnie wzajemne zaufanie i przyjaźń, »potrzebna dziś jak najbardziej wszystkim narodom cesarstwa«.

Jak widzimy, program p. Radića zaczyna być bardzo... niewyraźny.

Na tem tle zastanawia niemało wiadomość, podana przez *Riječke Novine*, jakoby istniał był zamiar połączenia frakcyi Dra Mile Starčevića ze »seljačką stranką«, lecz, że układy owe rozbiły się, a natomiast ma powstać hrvatska seljačka stranka prava, ściśle katolicka i prawaszowska, lecz utrzymująca program ekonomiczny Radića. Podawany za twórcę tego pomysłu ks. Franciszek Novak liczy podobno na malkontentów obydwóch obozów prawaszkich, że przejdą do nowej organizacyi.

Nam się zdaje, że gdyby ten pomysł się powiódł, prawaszostwo byłoby ubite; utonęłoby w nieskrystalizowanym jeszcze programie chłopskim.

Serbowie węgierscy, w niczem nigdy nie mogący dojść do jedności ani nawet na zewnątrz, rozdzieleni są tem bardziej, odkąd sprawa autonomii cerkiewnej zaostrzyła się. Nowosadzka *Zastava* zarzuciła koalicyi serbochorwackiej i serbskim »samostalcom« w Chorwacyi i na Węgrzech, że chodzi im tylko o to, żeby dorwać się do władzy, a kwestya autonomii ma dla nich znaczenie nader podrzędne. Odpowiadając na to zagrzebski *Srbobran*, pisał między innemi:

»Zagadnienie, w jakim kierunku rozwiązane będzie przesilenie chorwackie, posiada bezwarunkowo jak największą doniosłość i dla autonomii narodowo-cerkiewnej. Każdy jako tako trzeźwo myślący musi to uznać, tylko nie mogą się w tem połapać przywódcy stronnictwa radykalnego z Nowego Sadu. Czy nie mogą, czy też nie chcą — nas nie zdoła to odwrócić od stanowczego naszego postanowienia, żeby całą wagę naszych dążeń przerzucić na sprawę załatwienia politycznego przesilenia w Chorwacyi. Skoro zaś jasnem jest, że stronnictwo nasze nie może zgodzić się na żadne załatwienie tego przesilenia, któreby nie liczyło się z potrzebą przywrócenia cerkiewnej autonomii, z samego więc tego faktu okazuje się jak najbliższy związek pomiędzy sprawą polityki a autonomii naszej, i tak wszelka nagana z powodu naszego chwilowego desinteressement (sic!) w sprawie autonomii narodowo-cerkiewnej jest, żeby powiedzieć grzecznie, czemś bezmyślnem«.

Serbowie b o ś n i a c c y sprawili niespodziankę bardzo niemiłą »rządowi krajowemu«:

W *Srpskoj Riječi* pojawiła się proklamacya posłów serbskich grupy umiarkowanej, z zawiadomieniem o złożeniu przez nich mandatów sejmowych. W deklaracyi oświadczają, że przystąpili byli do »stronnictwa pracy« w mniemaniu, że da się pracować dla kraju na zasadzie koalicyi Serbów, Chorwatów i Muzułmanów — a kładli zaraz za warunek, że rząd krajowy bośniacki da Serbom w pełnym sejmie satysfakcyę za rozwiązanie stowarzyszeń serbskich podczas ostatniego przesilenia i że stowarzyszenia te będą mogły obecnie być reaktywowane bez jakichkolwiek formalności prawnych i bez zmian statutów. Rząd nie dał na to dotychczas odpowiedzi jasno określonej. Nadto zalegają z winy rządu rozmaite kwestye: reforma ordynacyi wyborczej, prawo interpelacyj w sejmie, reforma trybunału administracyjnego dla Bośny, zaprowadzenie sądu przysięgłych, kwestya wolności prasy, upaństwowienie poczty i telegrafów w Bośni i t. p. — które to kwestye rząd ciągle odkłada, a względem niektórych odnosi się niechętnie. Deklaracya kładzie w końcu nacisk na to, że posłowie serbscy domagali się, żeby ważniejsze stanowiska w administracyi krajowej obsadzone były krajowcami — na co rząd dawał odpowiedzi wymijające. Wobec takiego rozdźwięku pomiędzy władzą prawodawczą a wykonawczą składa d w u n a s t u posłów grupy umiarkowanej serbskiej mandaty, odwołując się do sądu społeczeństwa.

Trudno przypuścić, żeby rząd po tej deklaracyi i — demonstracyi, miał chęć zwołania sejmu. Umiarkowani Serbowie składają mandaty; jeżeli nieumiarkowani mandaty zachowują, widocznie nie celem okazania przy sposobności obrad sejmowych swej życzliwości rządowi!

Jeden z owej dwunastki, b. poseł S r š k i ć, pisał w *Narodie*, że wszyscy posłowie serbscy powinniby złożyć mandaty, żeby zmusić rząd do rozpuszczenia sejmu i rozpisania nowych wyborów; skoro zaś to niemożebne, należałoby przy wyborach uzupełniających głosować tylko na opozycyonistów z grupy *Naroda*. — Ostrzegał przed tą radą *Srbobran* ze względu na stosunki serbo-chorwackie, bo *Narod* zachowuje się wobec Chorwatów prowokatorsko; wszak nazwał serbskiemi ziemiami Chorwacyę, Dalmacyę, Istryę, a zrobił to nie w imię teoryi jedności narodowej, lecz według starej metody jednostronnej wyłączności.

Serbowie w K r ó l e s t w i e dolewają ciągle jeszcze oliwy do ognia, o ile chodzi o stosunki serbsko-bułgarskie. Znajdują w tem poparcie i od Chorwatów i od Czechów. Donosiliśmy w poprzednim zeszycie o liście otwartym T r e š i ć a - P a v i č i ć a. W połowie października pojechał on do Belgradu, żeby deklamować w teatrze swe najnowsze wiersze polityczne anty-bułgarskie i »konferować« z Pašićem. Można sobie wyobrazić, jaki nastrój panował przez kilka dni w Belgradzie!

Co do Czechów, mamy do zapisania epizod, illustrujący doskonale ogólne położenie: Belgradzka *Tribuna* umieściła artykuł o stosunkach czesko-serbskich, podnosząc czeskie sympatye dla sprawy serbskiej podczas ostatniej wojny. O korespondencie pism czeskich, p. Č. S l e p a n k u, wyraził się autor artykułu, że naród serbski nie zdoła nigdy wywdzięczyć mu się należycie. W odpowiedzi nadesłał p. Slepanek *Tribunie* artykuł p. t.: »Serbowie i Czesi«, w którym powiada o sobie:

»Co uczyniłem, uczyniłem to jako człowiek, który myśli politycznie i to po czesku. Jako Czech, myślę zawsze w pierwszym rzędzie o swoim narodzie, o tem, jakby być dla niego pożytecznym. Gdyby sprawa serbska była niesprawiedliwą i dla czeskich interesów szkodliwą, ja byłbym wśród pierwszych, którzyby występowali przeciwko Serbom«.

O pogodzeniu Serbii i **Bułgaryi** odezwał się w tym czasie jeden tylko głos, a mianowicie J e r z e g o N i k o l o w a, który zawsze o tę zgodę się starał. Jestto hasło, które wypełniło mu całe życie. Nie dał się nigdy zrazić tem, że życie już trzy razy degradowało mu cele te na marzenia; ani teraz, po Bregalnicy, nie daje on za wygraną i bądźcobądź nie jest osamotniony. W zeszłym tygodniu wzbudził sensacyę w Belgradzie i w Sofii list jego, napisany do redakcyi belgradzkiej *Zastavy*. Nikolow przypisuje wielkie znaczenie oświadczeniu D a n e w a, że rozkaz do rozpoczynającego kroki wojenne napadu dnia 30. czerwca wydany był bez jego wiedzy. Organ Danewa, *Blgarija*, powtórzył to oświadczenie z całą stanowczością ponownie 14. października, polemizując z oskarżeniami, miotanemi przez *Prieporec*, organ stronnictwa t. zw. demokratycznego. Faktem też jest, że rząd Danewa wydał zaraz 1. lipca rozkaz, żeby wstrzymać walki i że ze strony bułgarskiej wysłano parlamentarza, którego atoli Serbowie nie przyjęli. Rozkaz ten pobałamucił do najwyższego stopnia żołnierzy bułgarskich. Pisze o tem N i k o l o w na podstawie własnego doświadczenia w te słowa:

»Dnia 2. lipca znajdowałem się na pozycyach pod Sukowem, w okolicy Czarnego Wierchu (Čornyj Vrch), który zasłania Pirot — i mogę zaręczyć, że wstrzymanie operacyj wojennych wywarło na stan moralny wojska wpływ katastrofalny. Nie chcę twierdzić, że inaczej byliby Bułgarzy porazili Serbów i Greków. Wojna dopiero ledwie się zaczynała, po dwu dniach nie można nic przewidywać — ale to fakt, że w wojsku nienawidzono Dra Danewa już za rozejm, zawarty z Turcyą, a uważano go za lichego dyplomatę. Wszyscy myśleliśmy, że on posłał nas 30. czerwca na nową wojnę, a gdy nazajutrz nadszedł rozkaz wstrzymania walki, straciliśmy zaufanie do kierownictwa i to było początkiem nieszczęść, jakie spadły na Bułgaryę«.

N i k o l o w przyznaje, że odpowiedzialność za fatalną wojnę spada na tego, kto wydał rozkaz do ataków dnia 30. czerwca o godz. 3. rano. Przypomina atoli, że nie winien temu naród bułgarski. Nie po raz pierwszy w historyi należy tu, zdaniem Nikolowa, rozróżniać pomiędzy państwem a narodem. Nie należy więc w Serbii dolewać teraz jeszcze oliwy do ognia, lecz starać się, żeby rany zabliźniły się jak najprędzej. Zwraca się Nikolow do opinii publicznej serbskiej, żeby zaprzestano rozdrażniać chorego i tak ducha narodu bułgarskiego. Bułgarzy i Serbowie poważnili się o spadek po Turcyi, jak dwaj bracia w jednym domu i ten spór domowy wyzyskały inne państwa i narody tak przeciw Bułgarom, jakoteż przeciw Serbom. We własnym, obopólnym interesie należy pamiętać o tem, że na przyszłość i tak niezbędnem jest współdziałanie Serbii i Bułgaryi w wielu doniosłych sprawach.

Redakcya *Zastavy* zgadza się z Nikolowem i wyraża tylko życzenie, żeby i z bułgarskiej strony zapanował ton umiarkowańszy wobec Serbów.

O ile można wnosić ze zgromadzonego dotychczas materyału, fatalny ów rozkaz na noc 30. czerwca wydał król F e r d y n a n d na własną rękę, samowolnie, poza plecyma rządu. Prasa bułgarska wstrzymuje się od wyraźniejszego dochodzenia tej sprawy, nie chcąc krytycznych czasów zawichrzać jeszcze bardziej — rewolucyą, do której palnego materyału i tak nie braknie. Od dość już dawna istnieją w Bułgaryi organizacye republikańskie.

Opinia publiczna bułgarska, rozdrażniona oczywiście do najwyższego stopnia, roztrząsa ciągle kwestyę, kto zawinił wybuch wojny pomiędzy sprzymierzeńcami. Zwolennicy obecnego rządu zwalali chętnie winę na b. premiera, I w a n a G e s z o w a, zarzucając mu między innemi, że on był autorem tekstu telegramu do cara, w którym Bułgarya wymówiła się od carskiego sądu polubownego w sporze bułgarsko-serbskim. W sofijskim dzienniku *Mir* odpiera Geszow ten zarzut i twierdzi, że wcale nie namawiał króla Ferdynanda do wysłania tego rodzaju telegraficznej odpowiedzi — a dalej oświadcza:

»Konstatuję przedewszystkiem, że już dnia 3. kwietnia na historycznem owem posiedzeniu Rady ministrów, odbytem w A d r y a n o p o l u pod przewodnictwem cara F e r d y n a n d a i w obecności generała S a w o w a, doradzałem z całą stanowczością pokojowe załatwienie wszelkich sporów z Serbią i Grecyą — i że zwracałem uwagę na to, że

mamy przeciw sobie Rumunię i Turcyę. Przekonania tego trzymałem się stale i poświęciłem raczej stanowisko prezydenta ministrów, a nie sprzeniewierzyłem się swemu hasłu politycznemu«.

Lublański *Slovenski Narod* zapowiada rewelacye w tej kwestyi z »pierwszorzędnego źródła« — a na razie potwierdza, że Geszow mówi zupełną prawdę.

Półurzędowy dziennik *Narodni Prawa* umieścił artykuł wstępny, w którym stwierdza zupełną niezdolność dyplomacyi europejskiej do ustanowienia jakiegoś porządku i utrwalenia pokoju na Bałkanie. Wszystkie umowy i postanowienia »koncertu europejskiego« poszły po kolei na marne, aż ukazała się łuna nad Albanią, a na granicy greckotureckiej tli się na nowo. Dzięki temu, że półwysep bałkański liczył się z Europą, popadł w istną anarchię. Uwzględnianie linii politycznej mocarstw było może największym błędem kierowników polityki państw bałkańskich i dlatego wszyscy z nich narazili się mniej lub więcej na rozmaite niespodzianki. Ten błąd w Bułgaryi już się nie powtórzy. Bułgarya spostrzegła się nareszcie, a schodząc z błędnej drogi, zapewni sobie najlepiej to, że nie przestanie być poważnym czynnikiem na Bałkanie. — W ten sam ton uderzyła *Weczerna Poszta* i dodaje, że dla zapewnienia sobie powodzenia nie wystarczy mieć dobrą armię, lecz trzeba także dobrej polityki, a ta polega w znacznej części na umiejętnem widzeniu rzeczy z d a l e k a. Niestety, ta sztuka stała wyżej w państwach ościennych i one wygrały sprawę, chociaż miały wojska znacznie gorsze od bułgarskich. Niechajże więc teraz rząd bułgarski urządza swoją politykę nietylko według czynników wewnętrznych, ale też według zewnętrznych.

Dziennik *Błgarija* podaje wyciąg ze skargi, wniesionej do trybunału państwowego na b. ministrów: Racza P e t r o w a, Dra G u d e w a, jenerała Michała S a w o w a, Mikołaja G e n a d i e w a (teraźniejszego ministra spraw zagranicznych), tudzież na I w a n a C h a l a c z e w a. Dziennik zwraca się energicznie przeciw obecnemu rządowi, że skargę zachowuje w tajemnicy nawet przed posłami z obawy, żeby opozycya nie wyzyskała tego do agitacyi przedwyborczej. Skarga zawiera aż 40 punktów, rozdzielonych na 8 ustępów. Podpisali skargę: J e r z y D a n a i ł o w, Dr. A l e k s a n d e r G i r g i n o w i W a s y l M i l e w. Świadków wezwano 591, pomiędzy nimi najznamienitszych polityków bułgarskich i najwyższych dostojników państwa.

Recenzye i sprawozdania.

Ołeksander Barwińśkyj. *Obrazky z hromadiańskoho i pysmeńskoho rozwytku Rusyniw. Spomynky z moho żytia.* Lwiw, 1912. Nakładom Jakowa Orensztajna w Kołomyji.

Autobiografia żyjącego jeszcze wybitnego działacza politycznego i pracownika na polu literackiem — należy do rzadkości w naszych czasach. Dzisiejsi

działacze nie lubią się spowiadać publicznie. I p. Barwiński nie chciał nam dać spowiedzi. Zapewne przypuszcza, że dzisiejsi czytelnicy nie mają jeszcze dość perspektywicznego objektywizmu, aby ocenić sprawiedliwie zdarzenia, jakie się działy między r. 1860. a 1880. Dlatego starał się być jak najbardziej przedmiotowym sprawozdawcą. Polscy czytelnicy muszą szczególnie odczuwać wyłączność tego tonu sprawozdawczego, nadającego wybitną cechę całej tej książce; kto jednakże zna prądy, nurtujące w kołach „ukraińskich", ten zrozumie racye, które takiego a nie innego tonu wymagały. My przypuszczamy, że niniejsza praca będzie służyła autorowi jako kanwa, na której kiedyś nakreśli żywsze, cieplejsze, barwniejsze obrazy.

Niniejszy tomik stanowi część I. całego szeregu i przedstawia na 163 stronicach wspomnienia rodzinne i szkolne autora, a dalej udział jego w związkach studenckich, które w 7-mem dziesięcioleciu XIX. wieku budziły i krzewiły narodowe poczucie ruskie we wschodniej Galicyi i w ówczesnej publicystyce o wybitnie narodowym kierunku; wreszcie przedstawione tu są pierwociny jego pracy nauczycielskiej i starania około zestawienia pierwszych podręczników szkolnych, mających objąć całokształt literatury ruskiej. Wiadomo, że na tem polu położył p. Barwiński bardzo wielkie zasługi, a pracowitość jego, trwająca od lat najmłodszych aż dotychczas, wprost zdumiewa. Zasługi te najmniej uznania znalazły właśnie u tych, którym najwięcej służyły. Sam byłem świadkiem słów, które pewien wybitny polityk polski powiedział do p. Barwińskiego. Widząc niewdzięczność, niechęć, nienawiść, jaką p. Aleksandrowi Barwińskiemu odpłacali się ci, których on jak najgoręcej popierał, wyraził się ten mąż stanu: „Dziwić się potrzeba, że Pan jeszcze nie stał się mizantropem. Timon, Ateńczyk mógłby w porównaniu z Panem być śmiało optymistą". — Że p. Barwiński i teraz mimo całej przedmiotowości swego opowiadania przygotowany jest na niechętne i niesprawiedliwe sądy, o tem świadczą słowa, wyjęte z latopiśca ruskiego, i umieszczone na czele przedmowy — a n e k ł e n i t e, n o b ł a h o s ł o w i t e! — Świadczy o tem także wierszyk niemiecki, umieszczony przed przedmową.

Dla nas Polaków byłby szczególnie interesującym obraz rozwoju stosunków, w jakich autor wraz ze społeczeństwem ruskiem pozostawał do sąsiadującego żywiołu polskiego. Pod tym względem książeczka niniejsza z łatwo zrozumiałych powodów szczególnie jest małomowna. Kto znał środowisko probostwa ruskiego we wschodniej Galicyi z przed lat 50, ten wie, że Polak obracał się w niem zupełnie jak we własnym świecie. W zwyczajach domowych nie było żadnej różnicy między domem prywatnego oficyalisty polskiego a domem parocha grecko-katolickiego; zamożniejsze probostwo ruskie podobne było do domu polskiego jednowioskowego lub półwioskowego szlachcica. Autor pamiętnika daje bardzo sympatyczny obraz życia rodzinnego swoich rodziców; pod powyższym względem możnaby zapewne ten obraz bardzo obficie uzupełnić. Nawiasowo dowiadujemy się także o zdarzeniach, które pobudziły brata autora Włodzimierza do napisania powieści „S k o s z e n y j ć w i t".

Środowiska probostwa ruskiego nie wyzyskano należycie ani w polskiej, ani w ruskiej literaturze powieściowej. Przypominają się mimowoli słowa Goethego o rodzinnym domu córki pastora, Fryderyki Brion. Głośny swego czasu redaktor *Słowa*, Bohdan Dziedzicki napisał powieść „O t e ć I h n a t y j", w której przeniósł na stosunki ruskie obrazy, wzięte z „proboszcza wakefieldzkiego"; ale powieść ta dawno już uległa zasłużonemu zapomnieniu.

Warto przeczytać, co autor pisze o wpływie polskiego styczniowego powstania z r. 1863 na ruch między gimnazyalną młodzieżą ruską (str. 40. i 41.). Nawiasowo należy uzupełnić ten ustęp uwagą, że „żałoba narodowa“, połączona z obchodami patryotycznymi i noszeniem strojów narodowych, rozpoczęła się w Galicyi już na 2 lata przed powstaniem styczniowem po wiadomości o manifestacyach warszawskich z dnia 25. i 27. lutego i z dnia 8. kwietnia 1861., stłumionych brutalnie i krwawo przez żołdactwo moskiewskie.

Także str. 47. i 48. zawierają ciekawe dla Polaków, ale stosunkowo skąpe szczegóły o „ruchu chłopomańskim wśród Polaków“ na Ukrainie. Wiadomo, że jeden z kierowników tego ruchu, Włodzimierz Antonowicz, wyrzekł się później gruntownie polskości i został za to nagrodzony katedrą uniwersytecką w Kijowie. Dzieje tego ruchu i udziału, jaki w nim wzięli obaj Święciccy — jeden, który dowodził oddziałem powstańczym, rozbitym pod Salichą, i drugi, który później we Lwowie występował jako autor, pisując pod pseudonimami, w języku polskim jako Stachurski, a w języku ruskim jako Pawło Swij — stanowią temat, bardzo interesujący. Równie ciekawą byłaby rozprawa o stosunku społeczeństwa polskiego do budzącego się na Ukrainie piśmiennictwa ruskiego i jego najwybitniejszego poety Tarasa Szewczenki. Wiadomo, że pierwsze monografie, starające się ująć w całość twórczość poetycką Szewczenki, były pisane przez Polaków: we Lwowie wyszła w r. 1865 praca Gwidona Battaglii, wspomniana przez autora niniejszych wspomnień na str. 58.; w zaborze rosyjskim dali Gorzałczyński i Sowiński w przekładach wybór utworów Szewczenki, poprzedzając je stosownymi wstępami. Wydane niedawno listy Józefa Bohdana Zaleskiego świadczą, że nasz poeta ukraiński Szewczenkę znał i że się nim interesował.

Dla byłych uczniów uniwersytetu lwowskiego będzie zajmującym cały rozdział 18. (str. 100 — 108), w którym poważne miejsce przyznano Antoniemu Małeckiemu, i zdjęte z poziomu, leżącego poniżej piedestalu uniwersyteckiego, pobieżne wzmianki o życiu ówczesnej młodzieży uniwersyteckiej, n. p. o słynnych restauracyach akademickich „pana Tomasza“ i — dodamy dla dokładności — separowanej niekiedy od niego „pani Tomaszowej“ (str. 91.).

Drugą — większą — połowę tomiku (od str. 164. do 336.) zajmuje „dodatek“, w którym się mieści korespondencya autora ze Serbem Novakoviciem, późniejszym profesorem, ministrem, dyplomatą i parlamentarzystą (164 — 169), ze zmarłym niedawno muzykiem ukraińskim Mikołajem Łysenką i z Kuliszem. Szczególnie listy Kulisza do Aleksandra Barwińskiego, umieszczone w ilości 63. na str. 175. — 327. i obejmujące czas od kwietnia 1869. do lipca 1890., są nader ważne, gdyż pozwalają wglądnąć głębiej w kierunek myśli tego duchowego przewódcy nowoczesnej Ukrainy. Pomijam szczegóły, mające znaczenie tylko dla znawców języka i literatury ruskiej. Wiadomo, że Kulisz pierwszy zerwał z tradycyą etymologiczno-cerkiewno-rosyjską pisowni ruskiej i wprowadził oryginalną pisownię, zastosowaną ściśle do dźwięków nowoczesnego języka, którą nazywają pisownią fonetyczną, a którą długi czas nazywano „Kuliszówką“. Sam język listów Kulisza, noszący zapewne wiele znamion narzecza czernichowskiego, pobudza do studyów porównawczych. Pomijam rady i wskazówki, które dawał Kulisz młodemu wówczas jeszcze Barwińskiemu co do układu „czytanki“, mającej objąć całość piśmiennictwa ruskiego; pomijam bardzo ciekawe i charakterystyczne sądy Kulisza o wielu pisarzach ukraińskich i o ich dziełach. Pomijam jego

zabiegi około wydania „ukraińskich“ przekładów Pisma świętego i Szekspira; (Kulisz przywiązywał do tych przekładów bardzo wielkie nadzieje, które — co do wpływu na rozwój języka i piśmiennictwa — ponoś tylko w małej części się ziściły).

Nas Polaków interesuje w pierwszym rzędzie stosunek Kulisza do języka i do narodu polskiego. Niektóre zwroty polskie w jego listach świadczą, że znał język polski dobrze. Znał także niektórych pisarzy polskich, mianowicie historyków, jak o tem świadczą n. p. dwa sprzeczne sądy o Szajnosze (na str. 240. w liście XXVIII. i na str. 315. w liście LX.). Znał Mickiewicza i umieszcza go w jednym szeregu obok Schillera, Goethego, Puszkina, Bajrona, Dantego, utyskując, że „z halicko-ruskich poetów“ „mało kto zna dobrze“ tych autorów, mogących przyczynić się do wyrobienia „czystego smaku w mowie i poczucia rzeczy“ (— zapewne poczucia poetycznej wartości tematów).

W całości jednakże stoi Kulisz wobec Polaków i polszczyzny na stanowisku wprost niechętnem i wrogiem. W całej tej bogatej korespondencyi niema — z wyjątkiem miejsc przytoczonych — ani jednego ustępu, w którymby Kulisz widział rad oddziaływanie wzajemne Polaków i Rusinów na siebie; natomiast mnóstwo jest ustępów, w których jako główne zadanie halickich Rusinów uważa walkę „z Lachami“. Gdy niektórym autorom halicko-ruskim nie podobał się ujemny sąd Kulisza o początkach Kozaczyzny i jej znaczeniu dla narodowego życia Rusi, chwali się Kulisz w liście XXXIV. (str. 249.) dosłownie: „Nikt jeszcze tak nie znieważał Lachów, jak ja; a ot warszawskim Polakom bardzo się moja książka podobała (I. tom). Drugi tom jeszcze bardziej im dopiecze, a wiem, że będą go nosili od domu do domu“...

W liście XLIII. (str. 268.) pisze: „Otóż dobrą wybraliście sobie wy, haliccy Rusini, zasadę, aby tylko wyzwolić się od polskiego elementu, a na to nie uważajcie, czy to się ma stać przez moskiewszczyznę, czy przez ukraińszczyznę“. W liście XLIV., pisanym w r. 1876., znajduje się następujący charakterystyczny ustęp: „Gdy nastanie taki czas, że cała ruska ziemia zgromadzi się pod jeden rząd, byłoby to wielką sławą, że o to dbała rusińska (sic!) intelligencya. Ot, patrzcie, car zamieniał się z Japończykami, oddając im za wyspę Sachalin kilka drobnych wysepek [1]). A z tego można wnosić, czy nie zamienia się on kiedyś z Waszym cesarzem, dając mu część ziemi polskiej za ten starożytny ruski kawałek“...

Z biegiem czasu ten kierunek coraz wybitniej występuje. W dalszych listach coraz gęściejsze są nawoływania w tym duchu, a niektóre z nich pisane są nawet wprost po rosyjsku. Dopiero na wyraźne domaganie się korespondenta (t. j. p. A. Barwińskiego) powraca Kulisz do języka ukraińskiego.

Co do tego stanowiska wobec polszczyzny i moskiewszczyzny Kulisz nie był izolowany między zeszłowiecznymi literatami Ukrainy. Wszakże i znany autor „Marusi“, Kwitka (Osnowianeńko) układał w czasie wojny krymskiej marne wierszydła na cześć cara rosyjskiego i jego wojowników, wyszydzające „Chrancuzów“ (t. j. Francuzów) stylem, podobnym do tych malowideł jaskra-

---

[1]) Uwaga: W tym czasie Rosya zawarła była osobny układ z Japonią, odstępując jej wyspy Kurylskie, a zabierając natomiast południową połowę Sachalinu. Tę część Sachalinu, ważną dla Japończyków ze względu na połów ryb i wyrabianie nawozu dla pól ryżowych, odebrali Japończycy napowrót w r. 1905.

wych, rozpowszechnianych przez Rosyan w pierwszych czasach wojny japońskiej, na których olbrzymi Rosyanin grzmoci po twarzy skarykaturowanego po małpiemu Japończyka.

Czy w nadziejach i dążeniach inteligencyi ukraińskiej pod panowaniem rosyjskiem nastąpiła obecnie pod tym względem jaka zmiana, nie umiem z autopsyi powiedzieć; ale nie mam żadnych danych, któreby mi pozwalały choćby łudzić się co do tego.

Ciekawe są też motywa, które — obok studyów historycznych — wpłynęły na zmianę zapatrywania Kulisza na „Kozaczyznę" i na „hajdamaczyznę". Ważne są pod tym względem listy LVIII. (z r. 1881.) i dalsze. Kulisz dochodzi do wniosku, że wyłączne idealizowanie poetyczne żywiołów „dzikich" i „niekulturalnych" musi niekorzystnie oddziaływać na podniesienie społeczeństwa współczesnego na wyższy poziom kulturalny, który mu przyświeca, i gani wprost niektóre zapędy młodych „Ukraińców" halickich w tym kierunku. Czy ta przestroga nie była i nie jest na czasie, to możemy pozostawić uznaniu czynników, odpowiedzialnych za dalszy rozwój społeczeństwa halicko-ruskiego.

Lwów. *Bolesław Adam Baranowski.*

F. V. Krejčí: *Jaroslav Vrchlický.* S podobiznou od M. Švabinského a 22 přílohami. Vydano v Praze 1913., w 16-ce, str. 159.

Z wielkiem zajęciem odczytaliśmy tę krytycznie pojętą biografię poety, który odznaczał się przez całe życie dążnością, żeby „wszystko poznać, wszystko sobie przyswoić, wszystkiego doświadczyć" (str. 5). Jędrna ta charakterystyka umysłowości Vrchlickiego uzupełniana jest świetnemi spostrzeżeniami. Np. „Na ogół żadna ziemia czeska nie może się pysznić tem, jakoby Vrchlický był jej synem. O ile Neruda jest poetą praskim, Čech poetą Czech środkowych, o ile Zeyer potrzebował podróży zagranicznych, żeby mieć o co oprzeć swe wizye i fantazye, o tyle u Vrchlickiego brak wszelkich głębszych i gorętszych stosunków do jakiegokolwiek określonego miejsca. Nie potrzebuje on ani wiele podróżować, on który będzie miał stale w bibliotece swej cały świat, jak go sobie wymarzył, on, dla którego ten czy ów kraj ma jakieś znaczenie o tyle, o ile jest ojczyzną poetów" (str. 8). Czy zupełnie trafnie podany rodowód „nowoczesnego poglądu na świat" w poezyi czeskiej, możnaby się spierać; ale niewątpliwie musi się uwzględnić przy tem wszystko, co podaje w tej materyi p. Krejčí, czy to przy roztrząsaniu pierwotnej retoryki poetyckiej Vrchlickiego (str. 21. sq.), czy też starając się określić bliżej następne jego „faustovské vzmachy" (str. 36. sq.). Zatrzymuje się słusznie nad „trzydziestoletnim Vrchlickým" (str. 45.), ażeby potem zastanowić się obszerniej nad ciekawym zaiste problemem, że niewyczerpana twórczość wzmagać się miała jeszcze z postępem lat, w latach męskich, „gdy uspokoił się duch i temperament, a życie nie podaje już nowych podniet wytycznych" Otóż — to wprawdzie jest powszechnie przyjęte, ale czy zawsze prawdziwe, i czy zwłaszcza prawdziwem było u Vrchlickiego? Zdatnemu do otrzymywania podniet życie dostarczy ich w każdym wieku, a u Vrchlickiego (tak mi się zdaje) nie koniecznie uspokoił się temperament. Wątpliwem jest, czy można tu zastosować zdanie: „życie człowieka biegnie już prawidłowo (co to właściwie znaczy „prawidłowo"?) wyżłobioną koleją, bez zmian kierunku i bez wzruszeń"? Może właśnie wręcz przeciwnym u Vrchlickiego stanem rzeczy składniej dałoby się wyjaśnić, że „nie starczy poecie dnia i omal

że nie mogą mu starczyć czeskie stosunki wydawnicze, żeby wyśpiewać, wyrazić, wysnuć z siebie wszystko, co w jego myśli zakwita wierszem, bez ustanku, dnia każdego, bez przerwy i wypoczynku“ (str. 48). Nie wystarczy na wytłumaczenie tego zjawiska uwaga, że „cudowny ten mąż do wylania na papier dzień w dzień całych potoków wierszy nie potrzebuje, żeby to, co w poezyę uwił, przedtem rzeczywiście przeżyć, nie musi doświadczyć miłości, przebywać wśród przyrody, widzieć obce kraje, kroczyć wśród labiryntu charakterów ludzkich, namiętności i zapasów — twórczości jego, zawsze pobudliwej, wystarczy, że o tem czyta“ (str. 49.). Przypuśćmy, że tak — pozostaje jednak do wyjaśnienia kwestya, dlaczego ta twórczość była zawsze pobudliwą? O kilka wierszy niżej stwierdza jednak autor, że Vrchlicky zachował aż do starości „swój temperament cyganeryi“ (str. 49.).

Stwierdzając, jak niewiele Vrchlicky podróżował, zwraca p. K. przy sposobności wycieczek do Lwowa i Krakowa uwagę na fakt, że „koła literackie polskie były też jedynemi poza granicami ojczyzny, w których za najlepszych swych lat zaznał szczęścia powodzenia i sławy, i gdzie występował w całym blasku swego poetyckiego imienia“ (str. 50.).

Istotnie, człowiek będący w Czechach „pierwszym wybitnym głosicielem Europy“, znał jej z autopsyi dziwnie mało: W podróży włoskiej za młodu nie dojechał ani do Florencyi nawet; Belgię, Holandyę i Paryż „zwiedzał“ raz jeden w ciągu dni czternastu; raz był w Danii i po drodze zatrzymał się w Berlinie. Ani nawet na letnie mieszkanie nie bardzo jeździł; znane są jego słowa, wypowiedziane na zapytanie cesarza podczas cercle w Pradze w r. 1907.: „Najjaśniejszy Panie, mi wystarcza Praga“.

Zasadniczy ustęp, określający pogląd autora na twórczość i życie poetyckie Vrchlickiego w stosunku do własnego społeczeństwa, ma jednak w sobie wiele, bardzo wiele prawdy:

„Gdyby był przyszedł na świat o dziesięć lat później i dojrzał artystycznie dopiero w ostatnich latach stulecia, porwany powszechną europejską falą „moderny“, byłby mógł wyrobić język swój, nerwy i myśli na styl w zupełności własny, nowy a indywidualny. Ale przybył do Czech zbyt wcześnie ze swem poczuciem nowoczesności („modernosti“), a przez to w zapasach pomiędzy tem poczuciem a konwencyami estetycznemi, za pomocą których wyrażał je, one w końcu zwyciężyły. Pierwszy nowoczesny („moderni“) poeta kraju, który przez swój rozwój ekonomiczny zmierza szybko do tego, żeby stać się jednym z najbardziej postępowych w środkowej Europie — uważa sobie za cel życia doganiać za cały ten kraj, co zaniedbanem było w starej kulturze antyku i renesansu! A kiedy natomiast przypłyną fale żywej, realnie odczutej nowoczesności („modernosti“), już za późno; poeta przyjmuje je już tylko nieufnością ducha, który dojrzewał pod innem niebem. Oto jego tragiczność. A niestety, nie jest to jedyny tylko rys tragiczny w twórczości Vrchlickiego“ (str. 58.). Stanowczo prawdą jest, że „konwencya poetycka odgrywa u Vrchlickiego doprawdy rolę ważną. Ktoby jej nie znał lub jej zaprzeczał, nie zrozumiałby najgłębszego wnętrza istoty tego poety“ (str. 73). Szkoda, że p. Krejčí nie zna naszego A s n y k a, tyloletniego przyjaciela czeskiego poety — niejedno byłoby jeszcze zrozumialszem co do konwencyi poety okresu „trzeźwego“. Zapewne, że tem tłumaczy się wiele (lecz nie wszystko, jak autor zdaje się mniemać!), co dotyczy „cudu jego niezmiernej płodności“. „Niczyje na świecie jedno życie nie starczyłoby na napisanie tylu

poezyi, gdyby poeta miał je od samego korzenia natchnienia aż do ostatniego rymu przeżyć całą mocą swoistości. Nie starczyłoby na to ludzkiego serca, ani wyobraźni; a gdzie siła ich kończyła się, musiała pospieszyć na pomoc konwencya, literacka i pojęciowa. Duchy poetów całego świata musiały być stale wywoływane, jeżeli Jarosław Vrchlický miał za całe pokolenie dokonać swego olbrzymiego dzieła“ (str. 81.). O b o k tego musi jednak kryć się w tem zjawisku coś więcej i coś innego, bo wszakżeż Vrchlicky nie jest jedynym na świecie płodnym poetą; a czy płodność innych wytłómaczy p. Krejčí także konwencyą literacką?

Zupełna zgoda na przedstawienie stosunku Vrchlickiego do Göthego: Po czterdziestce dopiero „zrozumiał należycie największego poetę dojrzałych mężów i najlepszego ich wychowawcę: Göthego. Zajęty za młodu zbytnio francuskim typem poety, u którego występują na pierwszy plan retoryka i olśniewający formalizm, nie posiadał, zdaje się, długo właściwego zmysłu dla naturalności i żywotnej treści poezyi Göthego i cenił w nim raczej myśliciela, niż poetę“ (str. 113.). Wątpić natomiast można, jakoby przekład „Fausta“ stał się czemś szczególniej serdecznem w życiu Vrchlickiego. Zdaje się, że p. K r e j č i nie zna języka polskiego na tyle, żeby mógł sobie zadać trud bliższego zbadania przekładu „Dziadów“ (zob. nasz zeszyt sierpniowy r. b.).

Pomyślnie przechodzi książka p. Krejčigo ogniową próbę roztrząsania tych lat w życiu Vrchlickiego, kiedy-to poeta (jak sam powiedział) „za trochę miłości szedłby na kraj świata“, kiedy wołał: „Ja już nie chcę szczęścia, tylko spokoju, spokoju!“, gdy całą pociechą mu było, że mu „z czasów szczęścia pozostało w sercu trochę woni“... Bardzo zajmująco przedstawione jest następnie modne przez pewien czas obniżanie znaczenia Vrchlickiego i jego Muzy, owo „wzajemne nieporozumienie“, które „wydaje się dzisiaj czemś nienaturalnem i niesprawiedliwem“; Vrchlicky „fatalną pomyłką“ sam zgłosił się i przyznał do „starych“ (zwłaszcza w walce literackiej o H a j k a) i to w czasach, kiedy on wprowadzał do Czech B a u d e l a i r e'a, M a e t e r l i n c k a, M a l l a r m é'a i W a l t a W h i t m a n a!! Zdaniem p. K r e j č i g o „łatwiej posiąść dziedzictwo kulturalne całych tysiącleci, niźli przeczuć najbliższe jutro“ — a Vrchlicky lekceważył „młodych modernistów“, nie przeczuwając, że „chodzi tu o ważny zwrot w kierunku ducha czeskiej kultury“ (str. 123.).

Czy jednak nie za wczasu jeszcze na poważny sąd o „modernistach“, wówczas „młodych“ — i czy nie bylibyśmy w kłopocie, mając k o n k r e t n i e powiedzieć, na czem polegał ów „zwrot ducha kultury czeskiej“? Kto bardziej, Vrchlicky czy „moderna czeska“ uległ „konwencyi“ (a może aż do pozy?!), kto mniej odczuwał, a bardziej stylizował, kto bardziej żywił się asymilacyą cudzych duchów — oto pytania, które możnaby tu zadać na odwet, broniąc i n d y w i d u a l n o ś c i Vrchlickiego. I oto zarzut główny, z jakim zwróciłbym się przeciw książce, którą starałem się powyżej scharakteryzować pokrótce: autor przypisuje Vrchlickiemu bądźcobądź za mało indywidualności. Czyżby i po śmierci Vrchlicky miał być lepiej rozumiany w Polsce?

Zarzut, jak zarzut, bo to d u b i u m i dopiero d e l i b e r a n d u m. O wiele bardziej, niż z zarzutem, zwracam się ku p. K r e j č í m u z uczuciem wdzięczności, że „problem Vrchlickiego“ posunął znacznie naprzód, że tyle poruszył zagadnień, a osobę i dzieło poety osadził na tle szerokiem, które raz ujęte i ozna-

czone, już się uszczuplić nie da. To będzie trwałą zasługą tej książki, pojętej głęboko, a ujętej w nader szczęśliwą i dobraną formę literacką.

Wydanie nader staranne i piękne; książka należy bowiem do cyklu „Zlatorog“, wydawnictwa stowarzyszenia artystów i plastyków czeskich „Manes“, o którem nam jeszcze mówić wypadnie. *F. K.*

KRONIKA.

† **Antoni Małecki,** Nestor polskiego świata naukowego, »trzech pokoleń nauczyciel«, zgasł we Lwowie dnia 6. października, przeżywszy pożytecznie i mężnie lat 92. Nie zamierzamy powtarzać tu jego biografii, znanej każdemu. Poprzestajemy na zacytowaniu ustępu z charakterystyki, skreślonej przez prof. Kallenbacha:

»Jest się zaiste czemu podziwiać: poeta piszący gramatykę, gramatyk piszący o Modrzewskim, biograf i krytyk Juliusza Słowackiego, wertujący pergaminy i źródła średniowiecza — to człowiek zupełnie wyjątkowy, to chluba naszej umysłowości. A cóż dopiero, gdy przy bliższem wniknięciu w ten żywot długi, równy, czysty, pokazuje się, że jest w nim także »z czego się ukochać«. Że był i jest nam wzorem niedoścignionym wytrwałości niezmordowanej i żelaznej pracy, wszyscy oddawna uznaliśmy«.

Ś.p. Małecki był pierwszym prenumeratorem *Świata Słowiańskiego,* jaki się zgłosił z poza Krakowa zaraz nazajutrz po ogłoszeniu prenumeraty; powitał zarazem serdecznym listem powstanie naszego pisma. Należał do osób, które nam, wskrzeszającym polskie słowianofilstwo i pragnącym je rozwinąć, dodawały bodźca i otuchy.

Wiekopomne jest jego imię w dziejach polskiej kultury, a z prac jego coraz nowsze i coraz dalsze »szczeble do sławy grodu« nowym pokoleniom filologów i historyków. Po sumiennem życiu Światłości wiekuistej najzasłużeńszy uczestnik R. i. P.

Czeska kronika.

† **Hr. Wacław Kaunic,** jeden z nielicznych arystokratów czeskich, przyznających się do czeszczyzny bez zastrzeżeń, zmarł d. 14. b. m. w Węgierskim Brodzie na Morawach. Dożył lat sędziwych. Urodzony w r. 1848., odebrał wychowanie w duchu narodowym dzięki matce Eleonorze z Voračických z Paběnic, utrzymującej osobiste stosunki z twórcami nowych Czech, z Dobrovskim, Palackim, Szafarzikiem. Wychowawcą ś. p. Wacława był słynny w swoim czasie pisarz czeski Ferdynand Schulz. Po ukończeniu gimnazyum akademickiego w Pradze, udał się ś. p. Wacław na „akademię gospodarską“ w Pradze, tudzież na wydział prawniczy. Od r. 1883. posłował na sejm czeski, a od 1885. do 1897. do parlamentu wiedeńskiego. Należał do zwolenników stronnictwa młodoczeskiego. Na cele narodowe zawsze hojny, zapisał się we wdzięcznej pamięci współczesnych i potomnych głównie ofiarowaniem swego pałacu w Bernie morawskiem na dom akademicki dla studentów czeskiej politechniki i przyszłego uniwersytetu w Bernie.

Ród Kauniców znany w historyi od XVII. w., wsławiony kanclerzem „Kaunitzem“ za Maryi Teresy, zgermanizowany (jak tyle innych) przez cały szereg pokoleń doszczętnie, i dziś jeszcze nie we wszystkich swych członkach odzyskany jest dla czeszczyzny. Nazwisko pisze się także: Kounic (jest to tylko kwestya ortograficzna).

Jubileusz prof. Franciszka Pastrnka, profesora filologii słowiańskiej w uniwersytecie praskim — z powodu osiągnięcia 60. roku życia — zajął nietylko czeski świat uczony, ale cały inteligentny ogół. Łączy się zaś ten jubileusz »z wieku« z jubileuszem »z urzędu«, gdyż właśnie z końcem zeszłego semestru letniego dopełniły się srebrne jego gody z katedrą uniwersytecką.

Urodzony w uroczej mieścinie Kelčy na Morawach, studya gimnazyalne odbywał w Ołomuńcu i w Węgierskiem Hradyszczu, poczem w uniwersytecie wiedeńskim poświęcił się filologii klasycznej. Był już przez kilka lat profesorem gimnazyalnym (również w Wiedniu), gdy za radą Miklošiča i Jagića zabrał się do slawistyki i w tej dziedzinie promował się doktorem filozofii w r. 1886. Ile mu zawdzięczają studyum języka cerkiewnego starobułgarskiego, bibliografia slawistyki i dyalektologia czeska — długo byłoby wyliczać. Jestto jeden z pierwszych pracowników naukowych około języka słowackiego (od r. 1888.), jest zaś przeciwnikiem Czambela. Znakomitym jest znawcą kwestyj głagolickich.

Z jego też imieniem związane jest przedsięwzięcie pomnikowe w nauce, a mianowicie sprawa zupełnego słow. ika nowożytnej czeszczyzny. Akademia czeska uchwaliła jąć się tej pracy na jego wniosek i referat, złożony w r. 1905. Wysadzono osobną komisyę, w której pracuje około setki młodych filologów, wypisując »kartki«. Ma się uwzględnić nietylko wszelkie książki, ale i czasopisma; nietylko język piśmienny, lecz i potoczny. Przypuszczają (o ile można dzisiaj przewidywać), że zbierze się o jakie 50.000 »wyrazów« więcej, niż w słowniku Jungmanna. Spodziewają się 10 milionów »kartek«, zanim będzie można przystąpić do ostatecznej redakcyi i do druku.

Najważniejszemi dziełami profesora Pastrnka są:

Slovanská legenda o sv. Vaclavu (Praga 1903).

Übersicht über die slavische Philologie 1876—1891 (Berlin 1892).

Jan Kollar (Wiedeń 1893).

Dějiny slovanských apoštolu Cyrilla a Methoda (Praga 1902).

Tvarosloví jazyka staroslovenského (Praga 1909 i 1912).

Nie brak mu i obywatelskich zasług. W r. 1893. był prezesem wiedeńskiej sekcyi wystawy etnograficznej w Pradze; w r. 1896. dał inicyatywę do założenia Československiej Jednoty, której prezesem był do r. 1903; od r. 1906. jest prezesem »Svazu osvětového«.

Ad multos annos! Życzymy, żeby się doczekał, aż dziesięciomilionowa »kartka« odstawioną będzie do archiwum Komisyi słownikarskiej, jako już »niepotrzebna«, bo wszechstronnie do druku wyzyskana; żeby się doczekał i mógł napisać krytykę z przygotowywanego w Krakowie »Słownika języka staropolskiego«; żeby się sam mógł jeszcze nacieszyć pomyślnem załatwieniem wszystkich spraw, które mu na sercu leżą.

Hyperprodukcya nauczycieli w Czechach. W Czechach właściwych i na Morawach jest przeszło 6.000 nauczycieli i nauczycielek bez posad. Hyperprodukcya trwa już od dawna. W roku 1907. zdawało egzamin dojrzałości w seminaryach nauczycielskich 1333 kandydatów i kandydatek, otrzymało jednak posady ledwie 449, pozostało więc bez chleba z tego zawodu 884. W r. 1908. »matur« przybyło 1338, posad nadano 418, zostało kandydatów 920. Roku 1909. jeszcze gorzej; przybyło kandydatów z maturą 1482, posad wolnych znalazło się zaledwie 337 — zawodu doznało już 1105 osób. W 1910. roku abituryentów seminaryjnych 1226, posad 129, odmowa spotkała 1097 kandydatów. W 1911. roku zebrało się nowych uprawnionych aż 1300, a zaledwie 133 otrzymało posady, przybyło więc »wiecznych« kandydatów 1167. A zatem w ciągu 5 lat 5.173 osób uprawnionych do zawodu nauczycielskiego, a nie mogących korzystać z nabytych kwalifikacyj. Do tej liczby dodać jeszcze należy kandydatów z lat 1912. i 1913, co do których niema jeszcze dokładnych dat statystycznych. Przypuściwszy, że frekwencya seminaryów zmniejszyła się nareszcie, wypadnie w każdym razie przeszło

6.000 osób stanu nauczycielskiego — bez posady, na bruku.

Równocześnie znajduje się w Chorwacyi 180 szkół — czasowo zamkniętych, a to dla braku sił nauczycielskich! Ale bo też nauczyciel chorwacki jest głodomorem o wiele jeszcze większym od galicyjskiego, podczas gdy czeski cieszy się znacznym stosunkowo dobrobytem; ma się w każdym razie lepiej od profesora rządowej szkoły średniej!

Pomnik Juliusza Zeyera, twórcy »Maryańskiego Ogrodu« (Marianská Zahrada) odkryto dnia 16 września w Pradze w parku publicznym, w t. zw. »Chotkových Sadech«. Pomnik jest dziełem przyjaciela poety, rzeźbiarza Maudra, który ułatwił wykonanie dzieła, wykonując je — gratis. Swego czasu zamierzał sławny Bilek opracować pomnik dla Zeyera, lecz nie doszło do tego.

O pierwotny Welehrad toczy się już od długich lat polemika naukowa. Na razie panuje zgoda przynajmniej na jedno, mianowicie na rezultat negatywny, że stolica państwa Wielkomorawskiego nie znajdowała się tam, gdzie dzisiejszy Welehrad. Na ostatnim zjeździe morawskich archeologów w Uherským Brodie wywodził p. Józef Homola, że siedziba Rościsława znajdowała się prawdopodobnie obok dzisiejszego Veseli n/M, co jest nazwą skorrumpowaną przez modernizacyę z Ves-selo (wielkie sioło, wielka, główna osada, stolica książęca). Profesor Zavadil uważa za stolicę Rościsławową gród Diewin przy ujściu Morawy do Dunaju, ale uznaje ślady wielkiego historycznego znaczenia krainy pomiędzy Uh. Hradiszczem a Osvětimanami i przypuszcza, że w tej stronie była siedziba głównej władzy duchownej, umyślnie przesunięta bardziej ku środkowi państwa. Faktem jest, że z reguły katedrę metropolitalną zakładano nie w świeckiej stolicy państwa, lecz osobno; wszak tak było w Polsce i na Węgrzech.

Na Diewinie prowadzi wykopaliska archeolog inż. F. L. Červinka. Grodyszcze tam jakieś było na pewno.

Prof. Zavadil skłonnym jest przypuścić, że Wielkie Morawy posiadały dwa vele-hrady: Rościsława velehrad (gród stołeczny) w Diewinie, a Swatopluka w Nitrze.

Być może — lecz w takim razie na pewno były trzy; bo dzisiejszy Velehrad nie jest przecież dziełem jakiegoś Hanki?

Słowacka kronika.

Spolok sv. Vojtecha jest najliczniejszem stowarzyszeniem słowackiem. Jestto rodzaj spółki wydawniczej. Członek opłaca 2 K rocznie, a za to otrzymuje już bez dopłat wydawnictwa stowarzyszenia: kalendarz, książeczki treści budującej, historycznej, gospodarskiej i t. p. Stowarzyszenie takie mogłoby się pokusić o »rząd dusz« na Słowaczyźnie katolickiej, działać w kierunku uświadamiania narodowego, uczyć lud organizacyi, zwłaszcza, gdyby chciano wyzyskać należycie statut, zezwalający (z dawnych jeszcze czasów) na tworzenie sekcyj i odbywanie zebrań oświatowych. Zarząd stowarzyszenia nie robił tego. Prezesem jest zacny ks. Martin Kollar, człowiek już wiekowy i cały niemal zarząd ze starców się składa, nieskłonnych do zaprowadzania reform. Przywykli do ograniczania się do wydania i rozesłania książeczek, po części nie chcą brać na swe barki nowej akcyi i nowej odpowiedzialności — po części zaś boją się, żeby rząd nie rozwiązał stowarzyszenia, gdyby zaczęło działać śmielej i na większą skalę. Młodsi księża, obyci już i z więzieniami węgierskiemi, jak pełni patryotycznych zasług księża Hlinka i Juriga — prą jednak z całych sił naprzód, a *Slovenske Ludove Noviny* umieszczały w tej sprawie ostre artykuły, zarzucając zarządowi śpiączkę i wygodnisiostwo, a niektórym osobom wprost ustanawianie przy stowarzyszeniu synekur, dobrze stosunkowo płatnych. Na walnem zgromadzeniu, które odbyło się w Tarnawie d. 4. września, zwarły się obydwa obozy. Pewną niedokładność statutu wyzyskały sfery rządowe i wydano polecenie, żeby madiaroni wpisali

się do Towarzystwa i przeszkodzili wyborowi ks. Hlinki. W wigilię walnego zgromadzenia wpisało się tedy 45 madiaronów tarnawskich, którzy na zgromadzeniu wyprawiali skandale, wykrzykiwali karczemne wyzwiska na ks. Hlinkę, nie dopuszczali do głosu, a wkońcu wywołali bójkę. Jak się okazało, madiaroni najęli 50 wyrobników i dawszy im przedtem podpić sobie, wprowadzili na salę, gdzie komenderowali nimi w taki sposób, że przewodniczący zmuszony był rozwiązać zgromadzenie przed dokonaniem wyborów do nowego zarządu. Niestety, wydarzenie to stało się nowem jabłkiem niezgody między stronnictwami słowackiemi.

Pierwsze „uroczystości martinskie" odbywały się dnia 4. sierpnia 1863., a przebieg ich jest tak ciekawy i tak znamienny dla historyi politycznej Austryi, że warto go przypomnieć za Nrem 150. *Slovenskego Dennika*:

Był czas, że Słowacy byli benjaminkami Wiednia, źrenicą w oku... Franciszka Józefa I. W r. 1863. otrzymali wbrew Madiarom pozwolenie na założenie »Macierzy Słowackiej«, a równocześnie mianowano biskupem spiskim najwybitniejszego patryotę słowackiego, ks. Stefana Moysesa. Ukonstytuowanie »Macierzy« wyznaczono na 4. sierpnia 1863. Od strony Tekowa jechał biskup Moyses, wziął osobiście udział w uroczystości. Na granicy komitatu czekają na niego deputacye i odtąd przez cały »Turiec« (powiat turczański), ów »piękny ogród Słowaczyzny«, jak nazwał tę krainę Kollar, odbywa się istna jazda tryumfalna. Przed każdą gminą banderye, każda wieś przybrana słowackimi sztandarami, kapele, mowy bez końca, a czem bliżej Sv. Martina, tem więcej powozów i wozów wszelkiego rodzaju przyłącza się do biskupiego orszaku. Dojeżdża wreszcie olbrzymi tabor w kilka tysięcy osób do Sv. Martina, gdzie już do 20.000 ludu oczekuje słynnego biskupa, zwanego »protektorem narodu«. Na łuku tryumfalnym napis: »Štefanu Moysesowi, biskupovi, za jeho věrnost k'pravde slovenského národa«. Wita go pierwszy... superintendent protestancki słowacki i woła: »Przychodzisz dokonać czynu (otwarcia »Macierzy«), który ma być granicznikiem w całej historyi tego narodu«. Idą długim szeregiem deputacye urzędników w komitatu, wojskowe, reprezentacye autonomiczne wszystkich okolicznych komitatów, deputacye tak liczne, że reprezentowane było z całą ścisłością wszystko, co tylko na 30 mil dookoła miało jakiekolwiek znaczenie urzędowe. Takie było »życzenie« Wiednia. Wieczorem illuminacya w mieście, po całej okolicy sobótki... Nazajutrz uroczyste nabożeństwa, katolickie i protestanckie, a potem uroczyste zebranie konstytuujące »Maticy«. Wzniesiono na rynku umyślną szopę; powiewa nad nią sztandar czerwono-niebiesko-biały i oznaka »Macierzy«: trzy pagórki z białym krzyżem podwójnym w czerwonem polu. Komisarz rządowy przyłącza się do uroczystości... Nie koniec na tem! Oto robi się rumor, bo przyjechał z Budzynia umyślny kuryer od namiestnika Węgier, hr. Palffy, na osobisty rozkaz cesarza i króla, który przez tegoż kuryera przysyła ze swojej prywatnej szkatuły tysiąc »guldenów« na Macierz słowacką. Jeszcze nie minęło pierwsze wrażenie tej sensacyi, rozchodzi się wiadomość druga: tenże kuryer przywiózł bisk. Moysesowi tytuł Ekscellencyi, nominacyę na tajnego radcę cesarskiego. Uważano w Wiedniu za stosowne wręczyć mu ten dyplom tu, wobec tysięcy zgromadzonego ludu słowackiego...

Po latach 50, w r. 1913., odbyły się »martinske slavnosti« w dniach 6.—9. sierpnia. Prasa słowacka pragnęła pobudzić patryotyzm i ofiarność z powodu 50-lecia. Przypominano, jak w roku 1863. podpisano przy zakładaniu Macierzy 188.503 K, co w owe czasy znaczyło trzykroć więcej, niż dziś, a nie było jeszcze żadnych instytucyj finansowych słowackich, ani kolei żelaznej, ni prasy. Dopiero 1870 r. przeniesiono do Sv. Martina z Budzynia jedyne wówczas pismo słowackie,

Peštbudinske Vědomosti, których tytuł przemieniono zarazem na *Narodne Noviny*. Nastąpiło założenie banku »T a t r a«, szeregu przedsiębiorstw przemysłowych, Kas oszczędności, nowych czasopism, stowarzyszeń kulturalnych i gimnazyum, a wszystko z siedzibą w Turczańskim Sv. Martinie, który wyrastał na stolicę Słowaczyzny. Trwało to przez lat 11. Tak krótki okres starczył, żeby wszystko się zmieniło. W imieniu tegoż króla Franciszka Józefa pozamykano w latach 1874.—75. słowackie gimnazya, rozwiązano stowarzyszenia kulturalne (ostała się tylko niewieścia »Ž i v e n a«, o której jakoś zapomniano), wreszcie rozwiązano »Macierz«, majątek jej skonfiskowano (używa go się odtąd na wydawanie gadzinowych pism w słowackim języku, lecz anty-słowackich!). Po dalszych 14 latach jakby zapowiadał się nowy peryodyczny zwrot: w r. 1889. powstaje kosztem 100.000 K w Sv. Martinie gmach »Domu Narodowego« — ale nadzieja zwrotu na lepsze trwa krótko, tak krótko, że gdy przyszło do wykończenia i poświęcenia gmachu, już mu nie pozwolono być »narodowym« i dlatego widnieje dotychczas na frontonie zastanawiający podróżnika napis »D o m«, gdyż drugi wyraz... uległ cenzurze madiarskich »rycerzy wolności«. Gdy w r. 1895. okazała się znowu konstellacya nieco lepsza, wyzyskano ją celem założenia »M u z e a l n e j S p o l e č n o s t i«, która wzniosła w roku 1907. osobny gmach na Muzeum. Potem udało się Słowakom założyć jedno już tylko stowarzyszenie kulturalne »L i p a«, opiekujące się przemysłem ludowym. Ostatnie czasy wyzyskiwali Słowacy przedewszystkiem do zakładania instytucyj finansowych (z pomocą kapitału czeskiego).

† **Ludevit V. Rizner,** literat i wybitny działacz narodowy, zmarł w Zemanskiem Podhradiu dnia 10. października.

Ludu na pogrzebie było tysiące; jak bowiem pisał *Slovensky Dennik* — »znali nieboszczyka po całej krainie; wszak nie było takiej odległej chatynki zagrodniczej, do której nie byłby zawitał na swych wycieczkach«, jako zapalony zbieracz.

Przeszło 40 lat był nauczycielem w swej wsi rodzinnej; patrzał na wzrost całego nowego pokolenia, poważany i kochany.

Urodzony 10. marca 1849., uczęszczał do gimnazyum w Preszburgu, w Modrej, a do klas V. i VI. do słowackiego w Rewucy, poczem przez rok pomagał ojcu swemu, (również) nauczycielowi w Zem. Podhradiu. Jesienią 1868. zapisał się do klasy VII. w Rożnawej, ale nie skończywszy jej, wybrany po śmierci ojca nauczycielem przez rodzinną gminę, zdawał egzamin nauczycielski na katolickiej »preparandyi« w Trnawie.

Niebawem zapisał się dobrze w piśmiennictwie słowackiem. Zaczął od podręczników szkolnych: K r á t k y Z e m e p i s, D e j e p i s U h o r s k a, Ž i v o č í c h o p i s (zoologia). Zbierał namiętnie książki i zakładał biblioteczki szkolne. W *Orle* 1874. r. wyszedł jego P r e h l a d s l o v e n s k y c h v z d e l a v a c i c h s p o l k o v a v e r e j n y c h k n i ž n i c. Wydał ośm tomików K n i ž n i c e s l o v e n s k e h o l u d u, własnego pióra. Dla dziatwy szkół ludowych napisał książeczki: N a š i m m a l i č k y m i Z o ž i v o t a m a l y c h. Dla czeskiej młodzieży, żeby się zapoznawała ze Słowaczyzną, przeznaczone są K y t k a z T a t i e r (1884) i Z o s l o v e n s k e j c h a l u p k y (1885). Układał deklamacyjki i powinszowania: O d s r d c a k s r d c u (1881), a p. t. V š e l i c o wydał cztery zeszyty rozmaitych krótkich rozprawek ku pouczeniu i rozrywce. W latach 1891—99 redagował czasopismo rolnicze *Obzor*.

Głównem jego dziełem i zadaniem życia była B i b l i o g r a f i a s l o v e n s k e j l i t e r a t u r y, o której tu już pisaliśmy dawniej, a która wyjdzie nakładem Akademii Czeskiej. Ze zbiorów swych podarował około 2.000 tomów M u z e a l n e j s l o v e n s k e j S p o l o č n o s t i, a niemniej też Muzeum w Hodoninie.

Co Czesi zawdzięczają Słowakom? Na ten temat przemówił profesor uniwersytetu czeskiego, J a r o s ł a w V l č e k — sam Słowak —

we fejletonie *Narodnich Listów* z 13. czerwca r. b. (»Slovensko Čecham«).

»Czem Czechy były dla Słowaczyzny w przeszłości, a czem są dla niej dotychczas pod względem kulturalnym i narodowym, o tem wie każdy; ale zapomina się często, czem Słowaczyzna bywała i jest dotychczas dla Czechów«. W okresie pobiałogórskim tam znajdywali przytułek wygnańcy czescy, zachowując dzięki temu byt narodowy i tradycyę piśmienniczą ojczystego języka. Na Słowaczyźnie rozbrzmiewały czeskie ewangelickie pieśni kościelne, tam bywała czytywana »neřimská náboženská prosa«, tam powstawały podstawy naukowego znawstwa ziem czeskich, zapisywano klechdy i baśnie ludowe, wydawano czeskie książki szkolne itp. »Słowaczyzna utrzymywała Czechom ciągłość związku pomiędzy początkiem wieku XVII. a końcem XVIII-go«.

Wcześniej od *Hlasatela českého*, wydawanego przez Nejedlego, wydawał w Bańskiej Bystrzycy Andrzej Plachý, uczeń lipskiego uniwersytetu, *Staré noviny literniho umĕni* (1785—86). »W ciekawem tem przedsięwzięciu złożono pierwsze systematyczne starania o czeską nowożytną pisownię, o geografię i etnografię czeską, o popularne opisanie przyrody krajów czeskich, o hygienę i naukę rolnictwa, o filozoficzne określenia i poglądy na życie publiczne, a zwłaszcza o formułę wolności sumienia i swobód narodowych«. Tu cytowano Kartezyusza, Spinozę, Leibnitza, Piotra Bayle, Woltera. Tu na 20 lat przed Jungmanna przekładem »Raju utraconego« próbował się wiersz czeski, próbując zarazem w formie dyalogu dramatycznego przedstawić walkę Dobra i Zła, a mianowicie »w Pamĕtné celému svĕtu tragoedii« pastora Augustyna Doležala, wychowanka akademii w Altdorfie. Etnografię pierwszy rozumiał i uprawiał Słowak Jerzy Rybal, geografię najstarszą napisał Ladislav Bartolomeides; potrzebę piśmiennictwa naukowego w języku ojczystym określił najpierw Słowak Bogusław Tablic, a na wartości pieśni ludowych poznał się przed Hanką Samuel Rožnay. Na Słowaczyznie wykształcił się patryotyzm Pałackiego, stamtąd pochodził Šafařik, a Kollara »Slavy Dcera« — to cały program wzajemności słowiańskiej do r. 1848.

»Kiedy w Czechach nie rozumiano jeszcze nowej poezyi Machy, znalazła ona na Słowaczyźnie od razu gorące przyjęcie i głębokie zrozumienie. Kiedy w Czechach nie było dosyć ochoty ani cierpliwości do tego, żeby przeżyte formy wielkiej epiki staroklasycznej wypełniać hasłami narodowemi XIX. stulecia, pokazał Słowak Holly, że możliwą jest i taka forma artystyczna. Kiedy u następców i naśladowców Kollara i Čelakowskiego w Koronie i Margrabstwie pozostała już tylko pusta łupina bez odżywczego jądra, młody narybek na Słowaczyźnie, zapłodniony temiż wzorami, znalazł sobie dalsze drogi i cele, a wytworzył typy i wartości artystyczne, dzięki którym literatura nasza nabyła nowych barw i nowej woni jeszcze przed torowaniem dróg przez Nerudę, a mianowicie w »Detwanie« Sladkoviča, w balladach Chalupki, w »Janosiku« Botty, w staroziemiańskich obrazkach Kalinčaka«.

»Organizacya narodowo-wychowawcza i społeczna, jaka wytworzyła się w szkole Štura, wyprzedziła ówczesne Czechy; a próby Ludevita Štura i Józefa Hurbana o czasopiśmienne ognisko przeglądowe, belletrystyczne i polityczne, dojrzały wcześniej, zanim u nas wyrosły do szczytów dążenia do reform mistrza Havlička«.

W latach 1848. i 1849. »muza czeska nie miała nic do powiedzenia narodowi«, podczas gdy »gromadna ówczesna pieśń słowacka, po dziś dzień żywa, uosabiała spiżowemi dźwięki ruchliwą myśl wieku. Czy mamy śledzić dalej, jaki świat nowy otwarła Słowaczyzna za smutnych czasów reakcyi twórczości Bożeny Němcowej, ile dodała następnie ciepła i świeżości poezyi Heyduka i innych, co za kopalnię złota otwarł nam wiersz

Hviezdoslava, a ile szczerolitych bogactw odkryły nam n. p. choćby tylko szkice Kučina? Przy tylu biedach swoich i utrapieniach przy smutnem osamotnieniu i sieroctwie swem, Słowaczyzna nie przestawała ani nie przestaje ogrzewać także Czechy źródłem wody żywej«.

Słowieńska kronika.

Pierwsze gimnazyum słowieńskie rządowe nie utrakwistyczne, powstało od niniejszego roku szkolnego w Gorycy, skutkiem rozdzielenia na trzy samoistne zakłady dotychczasowego gimnazyum niemiecko-włosko-słowieńskiego, w którem większość uczniów była zawsze narodowości słowieńskiej.

Niema porównania co do poziomu kultury pomiędzy Słowieńcami a Rusinami, a jednak aż do tej chwili nie posiadali Słowieńcy ani jednej szkoły średniej. Są one i nadal na ich terytoryum — prócz jedynej Gorycy — w Krainie cztery i w Styryi dwie niemiecko-słowieńskie, a do tego z potężną przewagą niemczyzny.

Na ten rok otwarto cztery niższe klasy. Uczniów wpisało się do I. klasy 164, do II. 121, do III. 86, a do IV. 35, razem więc 406. Pierwsza i druga klasa mają po trzy oddziały, trzecia dwa.

Dzieło naukowe Słowieńca po polsku. Znany pod wszystkimi trzema zaborami słowieński nasz przyjaciel, ks. Dr Lénard, wydał po polsku: »Rozwój historyczny gramatyki słowieńskiej«. Część pierwsza tego dzieła, obejmująca kilkanaście arkuszy druku, wyszła w warszawskich »Pracach filologicznych«, jako zeszyt II. tomu ósmego tego wydawnictwa.

Pamięci Božidara Flegeriča, pisarza i poety ludowego poświęcono piękną uroczystość ludową we Vodrancach, połączoną z poświęceniem nagrobka na cmentarzu »pri Sv. Bolfenku«. Napis brzmi:

Tukaj počiva večni popotnik Slov. goric., pesnik in pisatelj slovenski, Božidar Flegeríč, roj. 30. I. 1841., umrl 9. VI. 1907. Postavili pesnikovi prijatelji in znanci.

Na domu poety w Vodrancach umieszczono tablicę pamiątkową z napisem:

Dom pesnika Božidarja Flegeriča (daty urodzenia i śmierci).

W uroczystości wziął udział profesor Dr Križan z Warażdyna, kolega szkolny Flegeriča z gimnazyum warażdyńskiego — z którego wyszedł cały szereg dzielnych ludzi, jak Vraz, Cafa, Raič, Terstenjak, Murko i i.

„Aus dem Wilajet Kärnten“. Ażeby zwrócić w Wiedniu uwagę na »tureckie« w Karyntyi stosunki, zdecydowano się nadać książce, opisującej ten stan rzeczy, powyższy senzacyjny tytuł. Książka, zawierająca 280 stronic bitego druku, jest jednym ciągłym aktem oskarżenia przeciw sferom urzędowym, popierającym jawnie nawet najbardziej rażące nadużycia. Wszystkie przytoczone fakty poparto jak najstaranniej materyałem urzędowym. W drugiej części zwrócono uwagę na wielką lojalność Słowieńców wogóle, a karyntyjskich w szczególności i na ich przywiązanie do dynastyi — a następnie na misyę historyczną katolicką Austryi pomiędzy protestanckiem cesarstwem niemieckiem, a prawosławnym caratem. Tu zaś Słowieńcy stanowią żywioł na wskroś katolicki, podczas gdy wśród Niemców karyntyjskich słychać hasło »Los von Rom«.

† Fran Babič, kupiec lublański, zmarły 22. sierpnia, zapisał dom swój w Lublanie, wartości przeszło 100.000 K, stowarzyszeniu szkolnemu Družba sv. Cyrilla in Methoda.

† Ojciec węgierskich Słowieńców, ksiądz Dr Franciszek Ivanoczy, dziekan w Tišinie, kanonik honorowy kapituły sombotelskiej, zmarł dnia 30. sierpnia. Plebania jego była przez 20 lat ogniskiem (jedynem!) jakiegoś ruchu narodowego. Tam zaprawiał się do pióra literat węgierskich Słowieńców, Stevan Kühar; tam powstało pisemko dewocyjne dla tego ludu *Neotepeno poprijeta Marija Devica,* zwane krótko *Marijin List;* tam układano »Koledar» (kalendarz). Miał

oczywiście przykrości z powodu »panslawizmu«. Na pogrzebie mowy i głośne modlitwy były wyłącznie po madiarsku; tylko lud modlił się po cichu po słowieńsku.

Slovenec do nekrologu zasłużonego patryotycznego kapłana dodaje, co następuje:

»Po węgierskiej stronie znaleść można osoby, poczuwające się do narodowości słowieńskiej tylko wśród katolickiego duchowieństwa. Przed laty obchodziliśmy z przyjaciółmi także protestanckie parafie. Wszyscy pastorowie są madiaronami, a ponieważ studyują w Jenie, szowinistycznymi też przeciwnikami wszystkiego, co słowiańskie. Ani u jednego pastora nie mogliśmy wyśledzić bodaj odrobiny poczucia narodowego, podczas gdy pomiędzy katolikami słowieńskimi i pod narodowym także względem daje się odczuć szkołę ks. Dra Ivanoczy'ego.

Chorwacka kronika.

Prześladowanie głagolicy, prawdziwego obrządku ś-tych Cyryla i Metodego, obrządku rzymsko-słowiańskiego, idzie od szeregu lat w parze z nadzwyczajnem protegowaniem obrządku grecko-katolickiego, lubiącego się najniesłuszniej podszywać pod imiona świętych apostołów słowiańskich. Tym razem nowa nieprzyjemność w Splicie. Z powodu lokalnego zjazdu młodzieży katolickiej wyprawił tam ks. biskup Mahnić z wyspy Krku swego sekretarza, ks. Dra Palčića, który, głagolista, odprawił mszę św. na inauguracyę zjazdu według obrządku rzymsko słowiańskiego w katedrze. Zrobił to w najlepszej wierze, że jako przyjezdnemu, wolno to w każdym kościele katolickim, bez względu na to, czy kościół należy do tych nielicznych, w których obecny papież pozwala jeszcze tolerować głagolicę; inaczej bowiem głagolista w podróży nie mógłby sprawować wogóle liturgii w swoim obrządku. Tak atoli Watykan każe interpretować swe rozporządzenie z przed kilku lat. Biskup splicki, ks. Dr Gjivoje otrzymał naganę, a ks. Dr Palčić karcer klasztorny; co więcej, nadszedł rozkaz, żeby z katedry splickiej usunąć natychmiast mszały głagolickie, żeby się coś podobnego nie mogło już powtórzyć.

Nie miejmyż za złe *Obzorowi* — który jest pismem bardzo poważnem — że pisząc o tem, dodaje w rozgoryczeniu, iż dziwi się, że nie kazano poświęcać kościoła na nowo, jako sprofanowanego głagolicą! Można z tego sądzić, co inni o tem mówią! Powszechne wezbranie gorzkich uczuć jest zupełnie nietylko zrozumiałem, lecz i słusznem; prześladowanie bowiem głagolicy należy do objawów przykrawania katolicyzmu koniecznie na modlę włoską i osądzania sprawy nie z powszechnego, lecz z partykularnego włoskiego punktu widzenia. Biskupi chorwaccy (zwłaszcza dalmatyńscy), broniący głagolicy, mają słuszność zupełnie tak samo, jak mieli słuszność nasi, gdy wystąpili w obronie śpiewu ludowego podczas mszy św., którego także zakazano, dlatego że... we Włoszech wyśpiewywano sobie arcyświeckie piosenki! Że Włochom w Dalmacyi i w Istryi głagolica niemiła, to jeszcze nie katolicka racya; miejmy więc otuchę, że kwestya pójdzie jeszcze kiedyś ad papam melius informatum.

Cierpko przypominał *Obzor* — żeby cytować pismo najpoważniejsze — encyklikę Leona XIII. z roku 1880., głoszącą kult świętych... Cyryla i Metodego, a zezwalającą na głagolicę we wszystkich kościołach dawniej Panonii i Illyryi, do których-to prowincyi słowiańscy apostołowie przynieśli byli światło wiary. W Zadarze i Splicie bywało zawsze najwięcej księży głagolistów, toteż dzień 5. sierpnia, dzień św. Cyryla i Metodego, bywał świętem uroczystem w całej Dalmacyi. Biskup splicki Marko Kalogjer był wielkim poplecznikiem głagolicy. Wśród niedouczonych, zawsze źle poinformowanych »c. k. konfusionsratów« w Wiedniu pojawiło się atoli ni stąd ni z owąd mniemanie, że głagolicki obrządek, to coś »panslawistycznego«, a zatem ma w sobie coś z »propagandy rosyjskiej«!!

Niedarmo doprawdy Wiedeń na całą Europę słynie z... mądrości politycznej, opartej na niebywałem znawstwie własnych austryackich spraw!!

Po śmierci ks. biskupa Kalogjera zajął tedy katedrę splicką ks. Filip Nakić, b. sekretarz arcybiskupa zadarskiego Maupasa, znanego z wielkiej niechęci do chorwackiej (a więc olbrzymio większej) części swej owczarni. Nowemu biskupowi, który z takiej wyszedł szkoły, polecono z najwyższego miejsca — jak twierdzi *Obzor* — żeby tłumił głagolicę. To samo przykazano wprost następcy Maupasa w Zadarze, ks. arcybiskupowi Rajčevićowi. Pozorów do kopania dołków pod głagolicą dostarczył w owym czasie głośny (a niepotrzebny i ogromnie niewczesny, niepolityczny) telegram ks. biskupa dyakowarskiego, sławnego Štrossmayera na obchodzone w Kijowie rzekome 900-lecie prawosławia (1881 r.); sam cesarz nie wahał się wytknąć to publicznie biskupowi przy spotkaniu w Bielowarze.

Dyplomacya austryacka wychodziła w Watykanie rozporządzenie Kongregacyi obrządków z 5. sierpnia 1898., mocą którego prawo do liturgii głagolickiej ograniczono do tych kościołów, w których odprawiano ją nieprzerwalnie w ciągu ostatnich 30 lat. Przy interpretowaniu rozporządzenia postarano się o to, żeby ilość tych kościołów okazała się jak najmniejszą. Petycya do Leona XIII. z podpisami kilkuset kapłanów i licznych rzesz osób świeckich nie zdała się na nic, tem mniej liczny wiec manifestacyjny w Splicie latem 1902., na który zjechały reprezentacye z całej Dalmacyi. »Głagolitasze« sądzą, że za Leona XIII. Watykan dałby się był ostatecznie przekonać — ale uważają za fatalny dla swej sprawy rok 1903. — rok wyboru Piusa X.

Obecnie napróżno prosił ks. biskup Gjivoje, żeby dopuszczoną była głagolica w Splicie, choćby w jakiej jednej prywatnej kaplicy! Prosił potem, żeby pozwolić »glagoljati« przynajmniej tym starym księżom, którzy nie znają zgoła obrządku łacińskiego. W odpowiedzi... suspendowano tych kapłanów od ołtarza, o ile się znajdą w obrębie miasta Splitu. Niemal połowa tedy kleru dyecezyi splickiej ma zakazane odprawianie mszy św. w stolicy dyecezyi!

Nowe petycye, wysłane w ostatnich miesiącach, pozostają bez odpowiedzi.

Pewien wybitny prałat miał się odezwać:

»Głagolica ma dzisiaj jedyne tylko ujście — do Serbii. Przy zawieraniu konkordatu mogłaby Serbia w tej sprawie dopomódz i sobie i nam«.

† Ivan Banjavčič, b. poseł, zmarł dnia 7. października w Heidelbergu (gdzie bawił na klinice), licząc lat 71. W roku 1905., gdy nastało rozdwojenie wśród prawaszów, Dr Banjavčič przystał do umiarkowanego skrzydła starczewicianów przeciw Drowi Frankowi, a następnie był członkiem koalicyi serbochorwackiej, z której jednak wystąpił za Raucha. Przy następnych wyborach nie otrzymał już mandatu. Zapisał testamentem »Maticy chorwackiej« okrągło 100.000 K, a Maticy istryjskiej drugie tyle. Dla szkolnictwa słowiańskiego w Istryi dar ten stanowi epokę.

Szkoły madiarskie w Chorwacyi. Madiarzy posiadają już 61 szkół w Chorwacyi i Slawonii. Uczniów wytwarzają sobie w ten sposób, że obsadzili wszystkie linie kolejowe w Chorwacyi personalem madiarskim, skutkiem czego dzisiaj wykazują już 10.137 młodzieży szkolnej. Teraz właśnie uczynili znowu krok dalszy. Szkoły wydziałowe w dwóch głównych miastach, w Zagrzebiu i w Osieku, urządzili w ten sposób, że dodali prywatny kurs przedmiotów z zakresu V. klasy gimnazyalnej, a ministerstwo oświaty nadało tym szkołom prawo, że z piątej klasy takiej szkoły wydziałowej przechodzi się od razu do drugiej klasy gimnazyalnej, z szóstej do trzeciej, z siódmej do czwartej, a z ósmej do piątej. A więc całe niższe gimnazyum można odbyć sobie w tej madiarskiej szkole wydziałowej — teraz kolej na jakie specyalne madiarskie wyższe gimnazyum.

Serbska kronika.

Nowa Serbia rozdzieloną została na 11 okręgów administracyjnych z 45 powiatami. Stolicami okręgów są następujące miasta: Bitolje, Debar, Kavador, Kumanovo, Novi Pazar, Plevlje, Priština, Skoplje, Tetovo, Štetovo, Prizren.

Główna Rada oświatowa przy rządzie serbskim w Belgradzie postanowiła założyć na nowo przyłączonych obszarach gimnazya niższe w następujących miastach: Novi Pazar, Prepolj (lub w Senicy), Priština, Prizren, Kumanowo, Tetow, Ochrida, Debra, Gevgelja, Dorian, Prilip, Mitrowica, Koczany, Kavadare, Krzywa Polanka (lub w Kratowie), Veles i Sztip. Wpisy uczniów już się rozpoczęły; największa frekwencya zapowiada się w Velesie i Sztipie. — Seminarya nauczycielskie zakłada się w Skoplju, w Bitolu i Mitrowicy.

(*mj*) **Setna rocznica pierwszej gazety.** Z końcem kwietnia 1813. r. posłali dwaj Serbowie, bawiący w Wiedniu, Dymitr D a v i d o v i ć i Dymitr F r u š i ć, wezwanie do przebywających na Węgrzech rodaków z prośbą o pomoc w pracy nad oświatą swojego narodu. Za najlepszy środek ku temu uważali wydawanie gazety, co już było naówczas rozpowszechnione wśród Czechów i Polaków, a nawet nieliczni w Austryi Grecy mieli ją w ojczystym języku. »A nasz czteromilionowy naród jeszcze się na to nie zdobył — pisali Davidović i Frušić — nie, tak dłużej być nie może! Postanowiliśmy przeto, idąc za radą przyjaciół naszych, wydawać od 1. sierpnia 1813. r. w serbskim języku *Novine carstwujuszczeg grada Wijene* (Gazetę stołecznego miasta Wiednia), jeżeli się do tego czasu zbierze tylu przedpłatników, że wydatki dadzą się pokryć. Gazeta ta będzie wychodziła codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt i donosić w naszym języku wiadomości o ważniejszych wypadkach w świecie, o handlu i nowych książkach, o zasłużonych mężach i tym podobnych sprawach, o których będą pisały gazety innych narodów«.

Dalej jest mowa w tem wezwaniu o przesyłce pocztowej, warunkach prenumeraty (12 złotych i 40 groszy za 5 miesięcy) i że tylko tym będzie gazeta wysyłaną, którzy z góry poślą prenumeratę.

Wyszedł też rzeczywiście w oznaczony dzień 1. sierpnia 1813. pierwszy numer pisma.

Rozkład materyału podobny był do tego, jaki mają dzienniki w naszych czasach, najwięcej zaś wiadomości miał o ówczesnej wojnie francusko-rosyjskiej. A to, co pisano w tym pierwszym numerze o Serbii, że «czasy, w których żyjemy, daleko są sławniejsze od poprzednich i pokój, zawarty po tej wojnie (z Turcyą), zagoi stare rany i sprowadzi dobrobyt« — zestawiają Serbowie z dniem dzisiejszym. (*Glas Crnogorca*, broj. 41.).

Szkoła żeńska im. carycy Maryi w Cetyniu, jedyna wyższa szkoła żeńska w Czarnogórze, utrzymywana z funduszów dworskich rosyjskich — została nagle zamknięta. Przyczyna tej istnej demonstracyi przeciw Petersburgowi nieznana. Dziennik urzędowy ogólnikowo tylko pisał, że Czarnogóra jest obecnie dość zamożną, żeby sobie utrzymywać własną szkołę tego rodzaju, że więc rząd kwituje z podziękowaniem za łaskę, wyświadczaną tak długo (przeszło 40 lat) dziewczętom czarnogórskim, ale dalszych subwencyj już nie przyjmie, bo państwo musi spełniać samo obowiązki względem cór Czarnogóry. Ładnie to brzmi, lecz nie wyjaśnia n a g ł e g o zamknięcia zakładu, nie uprzedzając nikogo, ani rządu rosyjskiego, ani rodziców córek.

Faktycznie był to zakład eksterytoryalny, podwładny Rosyi, a nie Czarnogórze. Była też to szkoła na wskróś rosyjska, w której nie słyszało się słówka serbskiego. Z pomocą wychowanek internantek (dochodzących nie przyjmowano), przybranych w mundurki »z rosyjska«, wychowywanych przez Rosyanki zupełnie po rosyjsku, osięgano popularyzowanie Rosyi i języka rosyjskiego w wyższych sferach Czarnogóry i nietylko Czarnogóry; przyjmowano bowiem chętnie wychowanki z krainy »Boki« (zatoki Kotorskiej), z Dalmacyi, Hercego-

winy, Bośny — a zdarzały się tu dawniej nawet Słowienki z Krainy.

Gołos Moskwy ogłosił korespondencyę p. Mamontowa, który twierdzi, że zamknięcie szkoły nastąpiło na usilne naleganie dyplomacyi austryackiej, przedsiębrane i w Cetyniu i w Petersburgu; że tedy nastąpiło z przyzwoleniem Rosyi. Są to (jego zdaniem) skutki rosyjskiej polityki. Rosya wyrzeka się Czarnogóry. Wyrzekła się jej już przedtem — na pierwsze wezwanie Austryi — w sprawie Skadaru. Już przed czteroma laty Rosya przyznawała Skadar Czarnogórze (gdyby się nadarzyła sposobność) i wzniosła swym kosztem w Skadarze wspaniałą cerkiew Aleksandra Newskiego, której budowę ukończono niedawno przed zeszłoroczną wojną. Świątynia ta, przyozdobiona znacznie bogaciej, niż cerkiew rosyjska w Nikszicu, przeznaczoną była od początku na katedralną cerkiew przyszłej stolicy Czarnogóry. Niebawem jednak Rosya ustąpiła dyplomacyi austryackiej miejsca i Skadaru — a teraz i »instytutu carewny Maryi«.

Nowoje Wremia ma znów co innego do opowiedzenia: Dwór czarnogórski zachowywał się wobec szkoły zawsze jak najlepiej, aż zmieniło się to przed 5—6 laty, kiedy wydarzyła się w Cetyniu głośna, a dotychczas nie wyjaśniona »przygoda z bombami«. Dokonywano wówczas w Cetyniu licznych rewizyj. Doniesiono królowi Nikicie, że w zakładzie żeńskim rozdarto jego portret. Król kazał wykonać rewizyę w zakładzie, lecz kierowniczka, Sofija Petrowna Mertwago (sic!) sprzeciwiała się temu, oświadczając, że zakład nie jest wcale czarnogórskim, lecz rosyjskim i nie podlega dozorowi policyi czarnogórskiej. Rewizyę atoli przeprowadzono i stwierdzono, że portret króla był istotnie uszkodzony. Sofija Petrowna twierdziła, że nie zrobiła tego żadna z wychowanek, lecz ktoś (niewiadomy), kto po kryjomu wśliznąwszy się do szkoły, zrobił to umyślnie, żeby na Rosyanki padło podejrzenie, że popierają żywioły »przewrotowe« w Czarnogórze. Od tego jednak czasu skończyła się życzliwość króla czarnogórskiego dla rosyjskiego zakładu wychowawczego.

Bułgarska kronika.

Przeniesienie egzarchatu bułgarskiego do Sofii zajmuje obecnie sfery rządowe i synodalne. Egzarcha Józef wybiera się do Sofii, żeby prezydować na posiedzeniu synodu, na którem ma zapaść to postanowienie. Zastanawiają się też nad usunięciem schizmy bułgarskiej. W Carogrodzie zostałby metropolita dla Bułgarów, żyjących w Turcyi; w razie usunięcia schizmy metropolita ten podlegałby patryarsze carogrodzkiemu. Czy jednak egzarcha zdecyduje się przestać być sam najwyższą głową cerkwi bułgarskiej?

Dzieje Sofii. Rada miejska sofijska wyznaczyła przed kilku laty fundusz na publikacye, dotyczące dziejów miasta. Wydano dotychczas trzy tomy. Obecnie wyszło dzieło prof. uniwersyietu Iszirkowa o Sofii w XVII. wieku.

Dzisiejsza Sofia, to Serdica Rzymian i Sredec dawnych Bułgarów; za rządów tureckich była stolicą begler- beja rumelijskiego, który miał pod sobą 26 bejów sandżakowych — i kwitnęła wraz z rozkwitem państwa tureckiego, potem upadała w miarę upadku potęgi ottomańskiej. W r. 1841. była już tylko miasteczkiem prowincyonalnem. Odradza się i z nadzwyczajną szybkością rozszerza, upiększa, bogaci się wnet po odzyskaniu niepodległości.



Druk ukończono 31-go listopada 1913.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Dr. Feliks Koneczny.
Czcionkami drukarni Literackiej w Krakowie
pod zarządem L. K. Górskiego.